

Pomorze 1939

operacja SB przeciwko NSZZ „Solidarność”

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
NR 09(417) WRZESIEŃ 2025

ISSN 0867-8952



Pamięć nie może
zastygnąć w pomnikach

Kampania
wrześniowa

Czy można było uniknąć porażki?



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 09(417) wrzesień 2025



dołącz do nas na facebooku i na X

www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



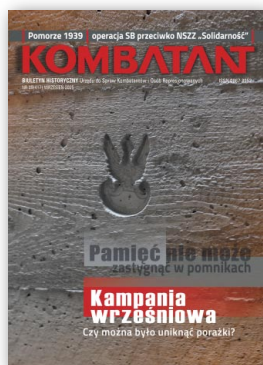
Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powiśńska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



w numerze

4 Pamięć nie może zastygnąć w pomnikach

Pamięć nie może zastygnąć w pomnikach i nie powinna się ograniczać do okolicznościowych przemówień, nawet najpiękniejszych. Rozmowa z dr Izabellą Sariusz-Skąpską, prezesem zarządu Federacji Rodzin Katyńskich

Katarzyna Krzykowska

8 Bez szans na zwycięstwo

W jakim stopniu Polska była przygotowana na wydarzenia, których 86. rocznicę obchodzimy w tym roku? Rozmowa z płk. dr hab. Juliuszem S. Tymem – profesorem Akademii Sztuki Wojennej, kierownikiem projektu naukowego „Kampania polska 1939 roku – synteza”

Mateusz Wyderka

12 Pomorze 1939 – laboratorium niemieckich zbrodni

We wrześniu 1939 r., tuż po niemieckiej napaści na Polskę, Pomorze stało się areną jednej z najbardziej krwawych i zarazem najmniej znanych zbrodni II wojny światowej

Norbert Nowotnik

16 Wytrwale w stronę wolności

Rozmowa z Mirosławem Andrzejewskim, wielokrotnie zatrzymywanym i represjonowanym działaczem opozycji antykomunistycznej internowanym w Ośrodkach Odosobnienia w Białej Podlaskiej, Włodawie oraz w Kwidzynie, z którego zbiegł w sierpniu 1982 r.

Przemysław Maksymiuk

22 Zamordowani w akcie zemsty

Okolo 140 żołnierzy Armii Krajowej zginęło od kul, choć wcześniej zagwarantowano im prawa jeńców wojennych

Waldemar Kowalski

27 Kryptonim „Debata”, „Sejmik” czyli największa operacja SB przeciwko NSZZ „Solidarność”

Zgoda władz PRL na powstanie niezależnych związków zawodowych w sierpniu 1980 r. była jedynie chwilowym, taktycznym ustępstwem

Grzegorz Majchrzak

Okładka: FOT. UD SKIOR

II wojna światowa – barbarzyństwo, które zmieniło oblicze świata

Sześć lat grozy. Dziesiątki milionów ofiar. Niezliczone tragedie ludzkie i cywilizacyjne. Osiemdziesiąt sześć lat temu rozpoczęła się II wojna światowa – największy i najokrutniejszy konflikt w dziejach ludzkości, angażujący państwa na wszystkich kontynentach. Była to wojna totalna, która dotknęła każdej sfery życia: od polityki i gospodarki po kulturę i naukę. Toczyła się na lądzie, morzu i w powietrzu, a jej konsekwencje do dziś kształtują naszą rzeczywistość.

1 września 1939 roku niemiecka agresja na Polskę rozpoczęła apokalipsę XX wieku. Niespełna trzy tygodnie później, 17 września, od wschodu wkroczyła Armia Czerwona, brutalnie łamiąc pakt o nieagresji. Polska znalazła się w potrzasku dwóch totalitaryzmów – nazizmu i komunizmu – które, mimo ideologicznych różnic, łączyło jedno: nienawiść do wolności i dążenie do unicestwienia narodu polskiego. Obie te maszyny chciały wyrwać nasz kraj z korzeniami, zniszczyć go biologicznie, kulturowo i politycznie. Na mapie Europy nie miało być miejsca ani dla Polski, ani dla Polaków.

Zbrodnie nazistowskie i sowieckie pokazały, że w XX wieku barbarzyństwo przybrało postać państwowej maszyny zorganizowanej do masowego mordowania – od komór gazowych i obozów koncentracyjnych po deportacje, łagry i egzekucje w katyńskich lasach. Były to ludobójstwa w najczystszej postaci, które na zawsze odmieniły sens pojęcia „wojna”. Przestała być ona tylko walką o granice i wpływy. Stała się projektem unicestwienia całych narodów.

Wojna straszliwie naznaczyła Polskę. Do dziś widać w naszych miastach jej ślady. Nie ma rodziny, w której by ktoś nie zginął: na froncie wojennym, w bombardowaniu domów, w czasie ewakuacji, w obozie koncentracyjnym, na zesłaniu na Sybir czy w ulicznych rozstrzelaniach.

1 września przypomina nam z jednej strony o bohaterstwie i oddaniu naszego żołnierza, ale z drugiej strony o naszym osamotnieniu. Uczy, że należy polegać przede wszystkim na sobie: być silnym na tyle, aby atak na Polskę musiał wiązać się z olbrzymimi stratami dla agresora. By stał się dla niego nieakceptowalny. To jest nasze wielkie zobowiązanie: i rządzących i każdego obywatela: sprawiać, aby Polska stawiała się coraz silniejsza. Dużo silniejsza niż w przeszłości.

Jak tego dokonać? Przede wszystkim trzeba rozumieć, że Polska, aby była silna, musi być w elementarny sposób zjednoczona. Nie będziemy silni, jeśli będziemy podzieleni. Nie możemy czekać z zawieszeniem tych najgorętszych sporów i podziałów do momentu próby – oby nigdy ten czas nie nadszedł. Jeśli jednak nadejdzie, zrozumiemy w jednej chwili, jak bardzo miałkie były nasze kłótnie i jak bardzo nam szkodziły.

Musimy być więc mądrzy przed szkodą. Musimy wzmacniać Polskę i nie pogłębiać sporów tam, gdzie można ich uniknąć. Powinniśmy umieć cofnąć się o krok, o pół kroku chociaż, zamiast budować kolejne osie podziałów.

Wzmacniamy dziś naszą armię. Chcemy, by była silna. By była największą armią lądową w Europie. To się może stać tylko wtedy, gdy będzie za tymi zamierzeniami stało silne, odpowiedzialne, niepodzielone nadmiernie społeczeństwo. Każdy powinien czuć powagę czasów, w których żyjemy.

Każdy jest dziś za Polskę odpowiedzialny. Nie tylko żołnierze. Nie tylko armia. Nie tylko ci, którzy odpowiadają za jej tworzenie.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



FOT. UDSKIOR

Izabella Sariusz-Skąpska
FOT. UDSKIOR

Pamięć nie może zastygnąć w pomnikach

Pamięć nie może zastygnąć w pomnikach i nie powinna się ograniczać do okolicznościowych przemówień, nawet najpiękniejszych. Jako Rodziny Katyńskie staramy się akcentować, kim byli ludzie, których zabrakło w trudnych latach dwóch okupacji i podczas powojennego odbudowywania kraju – powiedziała dr Izabella Sariusz-Skąpska, prezes zarządu Federacji Rodzin Katyńskich.

Czym dla pani jest Katyń?

Katyń to część historii rodzinnej. Z wiekiem coraz bardziej przekonuję się, jak znaczącą rolę odegrało to wydarzenie dla mojej tożsamości. Od zawsze wiedziałam, że dziadek, Bolesław Skąpski, zginął w Katyniu – a że ta świadomość przyszła w czasach PRL-u, kiedy oficjalną wykładnią było kłamstwo, wiedzy towarzyszyła przestro-

ga: „Poza domem nie mówi się o Katyniu!”. Wychowani w czasach komunistycznych, mieliśmy wszczepiony wentyl bezpieczeństwa: poza gronem ścisłej rodziny nie opowiada się o wojennych losach rodziny, a zwłaszcza o tym, że dziadka zabili ruscy. Tak, „ruscy” z małej litery. Mój tata, Andrzej Sariusz-Skąpski, był sierotą wojennym – jego mama, Izabella z Lardeme-

rów, zmarła w 1942 roku, nie wiedząc, że jest wdową.

Dziadek został zidentyfikowany w 1943 roku w dołach katyńskich, stąd tata całe dzieciństwo, okres szkolny i studencki, a potem do 1989 roku nosił na sobie piętno tego, czym jest synem. Był nękanym w szkole, wzywany na poligony, bo w papierach wojskowych miał jako pochodzenie

wpisane: „przedwojenny aparat uci-sku”. Dziadek był prokuratorem...

Pamiętając o tym dziedzictwie, jako absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych, zaczęłam opracowywać pracę doktorską o polskiej literaturze łagrowej – inspiracja losami dziadka była oczywista, a gwarancją, że taki doktorat „przejdzie”, była osoba promotora, prof. Henryka Markiewicza, który miał w swojej historii rozdział sowieckiego wygnania. Na szczęście wydarzył się rok 1989... Wtedy zaangażowaliśmy się z tatą w tworzenie Rodzin Katyńskich: najpierw lokalnie, w Krakowie,

Czy w pani ocenie pamięć o zbrodni katyńskiej jest przykrywana przez historię najnowszą, bieżącą politykę?

Wielokrotnie w mediach powtarzałam, że mojego dziadka zabiła historia, a ojca – polityka. Federacja Rodzin Katyńskich jest, zgodnie ze statutem, apolityczna. Kiedy w lutym 2010 roku nagle pojawiła się koncepcja, że – wbrew wcześniejszym ustaleniom i wielomiesięcznym przygotowaniom – w Katyniu odbędą się dwie uroczystości dla uczczenia 70. rocznicy, tata zdecydował, że jako prezes zarządu FRK musi w obu towarzyszyć Rodzinom Katyńskim. To były nasze obchody, a że jechali z nami politycy... Cóż, ranga uro-

znika z pierwszego planu Zbrodni Katyńska. Kiedy mówię „Katyń”, rozmówcy – w tym media – i tak słyszą „Smoleńsk”. Interesuje ich tylko wymiar skandalu, a nie prawda historyczna. Do pomników katyńskich, z takim trudem i poświęceniem budowanych przez lokalne Rodziny Katyńskie, dokleja się tablice smoleńskie, nie pytając naszego środowiska o zgodę.

W kwietniu łączy się obchody: do ustanowionego w 2007 roku Dnia Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej bezrefleksyjnie dokłada się rocznica katastrofy smoleńskiej. To nadużycie, wobec którego jesteśmy bezsilni: i jako Rodziny Katyńskie, i jako ci, którzy stracili bliskich 10 kwietnia 2010 roku.

W Rosji odradza się kłamstwo katyńskie, znowu pojawiają się głosy, kwestionujące sowiecką odpowiedzialność za mord na polskich jeńcach wojennych w 1940 roku...

Kiedy 13 kwietnia 1990 roku agencja TASS obwieściła, że jednak to Związek Sowiecki, a nie Niemcy, jest odpowiedzialny za Zbrodnię Katyńską, przecieraliśmy oczy – ze zdumienia, ale i łez, że tego dożyliśmy. Ale Rosja jest Rosją: ze swoją butą, nieprzemijającym od stuleci marzeniem o wielkości imperium, którego ma się bać świat. Do takiej wizji nie pasuje przyznanie się do masowego mordu na bezbronnym jeńcach wojennych, wywiezionych z bezprawnie zaanektowanych terenów sąsiedniego państwa.

W rosyjskim DNA jest usprawiedliwienie dla wszystkich środków, które posłużą rosyjskiej wielkomocarstwowości. Zresztą na tle zbrodni stalinowskich Katyń to epizod. W Rosji kłamstwo tylko schowano na potrzeby tamtej chwili, teraz znowu się przydaje w putinowskiej propagandzie.

W 85. rocznicę rosyjskiej zbrodni dokonanej na polskich bohaterach



Izabella Sariusz-Skąpska, 85. rocznica Zbrodni Katyńskiej FOT. UDSKIOR

potem w ogólnopolskiej Federacji Rodzin Katyńskich (od 1996 roku). To był ważny czas: rodziny poznały pozostałe miejsca, gdzie poza Katyniem zginęli ich bliscy. Po upadku Związku Sowieckiego na terenie Rosji i niepodległej Ukrainy rozpoczęły się prace polskich zespołów ekshumacyjnych. Powstała koncepcja nekropolii katyńskich: w 2000 roku, po 60 latach od mordu, odbyły się symboliczne pogrzeby w Katyniu, Charkowie i Miednoje; w 2012 roku otwarto czwarty cmentarz w Kijowie-Bykowni.

czystości tego wymagała. 7 kwietnia poleciał samolot specjalny Rodzin z premierem Donaldem Tuskiem; 10 kwietnia samolot z delegacją z prezydentem Lechem Kaczyńskim (Rodziny stanowiły tam mniejszość) i pociąg specjalny. Ta druga, wymuszona uroczystość, skończyła się katastrofą. Cyniczne wykorzystanie tragedii przez prawicowych polityków to zarzewie trwającej od kilkunastu lat wojny polsko-polskiej.

Zapomina się o celu tamtego wyjazdu, Smoleńsk otacza mgła teorii spiskowych i kłamstw. Na tym tle

w Katyniu i Charkowie i innych nieodkrytych jeszcze miejscach, Sejm ustanowił jako patronów 2025 roku wszystkich z blisko 22 tys. oficerów i przedstawicieli polskiego państwa pomordowanych na mocy rozkazu Kremla z dnia 5 marca 1940 roku. Jakie uroczystości zorganizowano w ramach obchodów? Co jest w planach na najbliższe miesiące?

Każda z okrągłych rocznic jest w jakimś sensie inna. Po pierwsze, kurczy się środowisko Rodzin Katyńskich i nasz udział jest coraz bardziej symboliczny. Nie ma już w naszym gronie wdów katyńskich, które były liczną grupą wśród założycieli lokalnych stowarzyszeń, pięknie prezentowały się jeszcze podczas otwierania pierwszych nekropolii. Odchodzą też główni działacze, czyli córki i synowie. Pokolenie wnuków i prawnuków działa już inaczej, może mniej spektakularnie, z inną determinacją. Po drugie, zmieniają się warunki i okoliczności – rocznice 70. przykrył cień katastrofy, obchody rocznicy 80. zdeorganizowała pandemia COVID-19. Agresja Rosji w 2022 roku zamknęła nam drogę do Katynia i Miednoje, dokąd nie możemy pojechać z rocznicową pielgrzymką; także nekropolie w Ukrainie są trudno dostępne: Charków leży na linii ognia, drony i rakiety docierają do Kijowa.

Symboliczne wiązanki kwiatów mogą na katyńskich nekropoliach złożyć przedstawiciele ambasad. Jedynym silnym akcentem była delegacja, która udała się do Kijowa-Bykowni 5 marca. Przewodniczyli jej minister kultury Hanna Wróblewska oraz szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell. Z oczywistych względów wyjazd był otoczony tajemnicą, a w gronie uczestników był jeden przedstawiciel Rodzin Katyńskich. Mimo to byliśmy jako środowisko bardzo wdzięczni i wzruszeni tą inicjatywą.

W praktyce tegoroczne obchody to uroczystości w kraju. Po pierwsze, lo-

kalne, skupione wokół symbolicznych dat: 5 marca (data decyzji stalinowskich siepaczy o wymordowaniu polskich jeńców), 13 kwietnia, a więc już wspomniany Dzień Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej, i 17 września (data sowieckiej agresji z 1939 roku to początek końca naszych bliskich). Odbývają się konkursy katyńskie o różnym zasięgu – szkolne, międzyszkolne, środowiskowe; sadzone są Dęby Pamięci (akcja Stowarzyszenia Parafiada), okolicznościowe sesje i wystawy.

W perspektywie ogólnopolskiej trzeba wspomnieć o powołanym Komitecie Honorowym przy Szeffie Urzędu, do którego zaprosiliśmy osoby zasłużone dla badania Zbrodni Katyńskiej, wśród nich archeologów badających zbiorowe mogiły i przygotowujących te miejsca pod budowę nekropolii, naukowców, dyplomatów, ale także muzealników.

Dla Rodzin Katyńskich szczególnym miejscem jest Muzeum Katyńskie. Jego otwarta w 2015 roku siedziba w Cytadeli Warszawskiej powstała także dzięki naszej determinacji, uczestniczyliśmy w przygotowaniu koncepcji konkursu ma nową ekspozycję, braliśmy udział w jury, a potem uczestniczyliśmy w każdym etapie pisania scenariusza i jego realizacji. To właśnie w Muzeum odbyły się 13 kwietnia centralne obchody 85. rocznicy, z udziałem premiera i wielu zaproszonych gości. Było to wielkie przeżycie dla licznie zgromadzonych Rodzin. Muzeum Katyńskie przygotowało też okolicznościowe wystawy, międzynarodową sesję, promocje książek itd.

To miejsce jest domem dla naszych pamiątek, tutaj spoczywa depozyt kilkudziesięciu tysięcy artefaktów wydobytych w dołów śmierci Katynia, Charkowa, Miednoje i Bykowni; tutaj rodziny oddają archiwa, powierzając swoje dziedzictwo fachowcom i wierząc, że ten niepodzielny zbiór jest najlepszym świadkiem w nieodbytym procesie winnych Zbrodni.

Motywy przewodnim różnych przedsięwzięć jest „pamięć”, ale nie ta z czarno-białych fotografii, dokumentalnych filmów hitlerowskich, z odkrywania masowych grobów w Katyniu w 1943 roku. Jaka jest wasza pamięć?

Pamięć nie może zastygnąć w pomnikach i nie powinna się ograniczać do okolicznościowych przemówień, nawet najpiękniejszych. Jako Rodziny Katyńskie staramy się akcentować, kim byli ludzie, których zabrakło w trudnych latach dwóch okupacji i podczas powojennego odbudowywania kraju. W naszych opowieściach nie ma epatowania makabrą – wszyscy znamy czarno-białe zdjęcia z Katynia, wykonane w 1943 roku przez hitlerowców. Doły śmierci, ciała, zbliżenia na mundury, przerażające detale... Dla nas ważne jest przypomnienie: mój mąż, ojciec, brat, dziadek, pradziadek był inżynierem, architektem, lekarzem, prawnikiem, aktorem, senatorem... Budował mosty, leczył zwierzęta, opiekował się lasem, był bankowcem, nauczycielem, sportowcem...

Tylko część jeńców to byli zawodowi oficerowie, policjanci czy funkcjonariusze innych służb II Rzeczypospolitej, większość poszła na wojnę zawezwana z rezerwy. Nasza opowieść jest o żywych ludziach, spoglądających z fotografii robionych podczas rodzinnych uroczystości, przy pracy, na wakacjach.

Dlatego Federacja Rodzin Katyńskich gromadzi fotografie, dokumenty i wspomnienia, które w formie zdigitalizowanej są dostępne na naszej stronie jako projekt NASI BLISCY (<https://nasi-bliscy.federacja-katyn.org.pl/>). Opracowujemy także noty o książkach o tematyce katyńskiej. W BIBLIOGRAFII KATYŃSKIEJ przypominamy zarówno klasykę tematu, ważne opracowania naukowe, jak i pozycje niszowe, pisane i wydawane w lokalnych stowarzyszeniach (<https://bibliografia-katynska.federacja-katyn.org.pl/>).

org.pl/). Wydajemy co roku „Rodowód Rodzin Katyńskich. Biuletyn Federacji Rodzin Katyńskich”, dostępny on-line (<https://www.federacja-katyn.org.pl/rodowod/>).

W tym rocznicowym roku udało się także za pośrednictwem Telewizji Polskiej przypomnieć piękny cykl filmów dokumentalnych „Epitafia katyńskie”; został też zakończony i wyemitowany dokument „Portret Ojca”; w wielu ośrodkach przypomniano „Katyń” Andrzeja Wajdy. Wiele się działo.

świadkowie wydarzeń z 1940 roku. Trzeba chronić depozyt pamiętek z Muzeum Katyńskim i pomniki katyńskie.

Z drugiej strony pamięć o naszych bliskich nie przetrwa, jeśli nie będziemy o tym nauczać. Przepełnione programy szkolne ulegają nieustannym przekształceniom i cięciom. Podczas ostatnich takich cięć z lekcji o Zbrodni Katyńskiej „wyparowały” nazwy miejsca kaźni i pochówku ofiar i trzeba było interweniować. Jedno słowo „Katyń” ma siłę symbolu, ale niedopusz-

dać za ułomną świadomość i niekompletną pamięć o Zbrodni Katyńskiej. Kiedy w marcu 2022 rosyjska bomba kasetowa uderzyła w Cmentarz Ofiar Totalitaryzmu, media obiegło symboliczne zdjęcie. Siłę symbolu nadał tej fotografii fakt, że chodziło o jedną z nekropolii katyńskich.

Katyń to ciągle historia „bez ostatniego rozdziału”?

Metafora, którą dla swoich wspomnień wybrał niegdyś Władysław Anders, ma już dzisiaj inny sens. W chwili publikacji wspomnień generała świat był sparaliżowany „zimną wojną” i podzielony „żelazną kurtyną”; wielu jego żołnierzy, których ocalał z Sowietów, pozostawało na emigracji, oddzielonych od Ojczyzny. To m.in. ich historia czekała na ostatni rozdział.

W wypadku sprawy Zbrodni Katyńskiej ostatnim rozdziałem mogło być przekazanie przez Rosję pełnej dokumentacji mordów. Ale to, co zapoczątkowali Michaił Gorbaczow i Borys Jelcyń, nie zostało dokończzone. W Polsce nie mamy teczek osobowych jeńców Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, nie znamy wszystkich danych osób, które z więzień zachodniej Ukrainy i Białorusi zostały włączone na listy katyńskie. Nie znamy wszystkich miejsc kaźni. Wciąż mamy nadzieję, że na bezimiennym uroczysku w Kuropatach pod Mińskiem powstanie pięta nekropolia katyńska, gdzie zostaną upamiętnione ofiary z Białorusi (tzw. lista białoruska pozostaje hipotezą, bez dokładnej liczby ofiar, bez ich potwierdzonych imion i nazwisk).

Ostatni rozdział ma także dość niezwykły wymiar: kobiety wśród Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Pamięta się o pilotce Janinie Lewandowskiej, zidentyfikowanej jeszcze przez Niemców w Katyniu. Na tzw. liście ukraińskiej jest prawie 60 pań, upamiętnionych w Bykowni. Zapewne, gdy poznamy dane ofiar z Białorusi, ta lista się wydłuży.

Rozmawiała Katarzyna Krzykowska



Zniszczone tabliczki z nazwiskami oficerów Wojska Polskiego na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu w Charkowie-Piatichatkach, na który spadła rosyjska bomba kasetowa. FOT. PAP

Ile jest jeszcze do zrobienia w sprawie prawdy o zbrodni katyńskiej?

Można na to spojrzeć z dwóch perspektyw. Po pierwsze, państwo polskie ma obowiązek chronić dziedzictwo Ofiar Zbrodni Katyńskiej, poczynwszy od szczebla dyplomacji, czyli w obecnej chwili od szybkiego reagowania na to, co się dzieje z prawdą o Katyniu. Przykładem może być reakcja na zniszczenie na Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje wizerunków Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Wojny 1939 roku. Oczywiście, przy dzisiejszym stanie stosunków międzynarodowych ma to wymiar symboliczny, ale nie wolno zaniedbać nawet tego – nekropolie katyńskie to święte miejsca, nieusuwalni

czalne jest pomijanie w opowieści o bezprecedensowej zbrodni na bezbronnych jeńcach tego okrucieństwa, że ci ludzie ginęli także w Twerze i zostali pochowani w Miednoje, w Charkowie – i leżą w Charkowie-Piatichatkach, w Kijowie – i spoczęli w lasach koło Bykowni.

Jeśli oburza nas kłamstwo katyńskie, obudzone i precyzyjnie opracowywane w Federacji Rosyjskiej, to tym bardziej nie możemy „oszczędzać” na części lekcji, wycinać faktów w pogoni za iluzyjnym uproszczeniem treści nauczania. Mówię to jako nauczyciel akademicki z wieloletnim doświadczeniem. W wyniku takich działań to my, nie Rosjanie, będziemy odpowia-



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Pułkownik dr hab. Juliusz S. Tym
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Bez szans na zwycięstwo

Niekorzystne położenie geostrategiczne, niekorzystny przebieg granicy, ewidentne słabości techniczne i materiałowe Wojska Polskiego działały na naszą niekorzyść. Przewaga ilościowa, techniczna i jakościowa Wehrmachtu nad Wojskiem Polskim była tak duża, że byliśmy skazani na porażkę – powiedział profesor Akademii Sztuki Wojennej płk dr hab. Juliusz S. Tym.

„Wobec ogromnej przewagi armii niemieckiej i jej środków technicznych, będziemy w wojnie regularnej pobici i walkę dłuższą będziemy mogli prowadzić tylko w formie partyzantki” – powiedział jesienią 1938 roku marsz. Edward Śmigły-Rydz. W jakim stopniu Polska była przygotowana na wydarzenia, których 86. rocznicę obchodzimy w tym roku?

To słowa, które marszałek miał wypowiedzieć w rozmowie z prymasem Polski kard. Augustem Hlondem. Czy jednak takie słowa padły na pewno... nie wiemy. Przypomnieć należy, że Śmigły-Rydz objął stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, czyli generała przewidzianego w przypadku wojny na Naczelnego Wodza, po śmierci marsz. Józefa Piłsudskiego.

W latach 1935–1939 Polska podjęła gigantyczny wysiłek w kwestiach przygotowań obronnych państwa. Nastąpiły zmiany w Sztabie Głównym Wojska Polskiego, w wyniku których opracowano plan operacyjny „Wschód”, czyli plan wojny ze Związkiem Sowieckim, wdrożono w siłach zbrojnych nowy plan mobilizacyjny „W”, który w odniesieniu do mobilizacji alarmowej zdał egzamin wiosną i latem 1939 roku. Praca Sekretariatu Komitetu Obrony Rzeczypospolitej kierowanego przez zastępcę szefa Sztabu Głównego gen. bryg. Tadeusza Malinowskiego zaowocowała wieloma uzgodnieniami międzyresortowymi, w wyniku których wprowadzono wiele nowych aktów prawnych – ustaw i rozporządzeń wykonawczych – regu-

lujących kwestie przygotowań wojennych. Niestety nie wszystkie zdążono wprowadzić przed wybuchem wojny. Między innymi dzięki kredytom francuskim powstał Centralny Okręg Przemysłowy, który jednak pełną zdolność produkcyjną osiągnął dopiero pod niemiecką okupacją.

To dość paradoksalne...

Można nieco przewrotnie powiedzieć, że zbudowaliśmy COP dla Niemców, ponieważ to oni w pełni wykorzystali jego potencjał przemysłowy. Opracowany przez władze wojskowe plan rozbudowy Wojska Polskiego został poddany ocenie przez Komitet do Spraw Uzbrojenia na czele którego stał gen. broni Kazimierz Sosnkowski. To dzięki niemu każda złotówka z ogólnej su-

my 4.759.000.000 ówczesnych złotych polskich została dobrze zainwestowana. W latach 1936–1939 Wojsko Polskie zaczęło otrzymywać nowoczesne uzbrojenie i sprzęt wojskowy, jednak środków finansowych nie wystarczyło na pokrycie wszystkich potrzeb. Należy zdać sobie sprawę, że II Rzeczpospolita była państwem biednym, które w żaden sposób nie mogło porównywać się z gospodarką niemiecką.

Jakie założenia strategiczne przyjęto na wypadek wybuchu wojny?

Założenia strategiczne przyjęte przez marsz. Śmigłego-Rydza zakładały, że polskie związki operacyjne, czyli armie będą prowadzić działania opóźniające od granicy do głównej pozycji obrony, którą wyznaczono na linii Biebrzy, Narwi, Wisły, jezior ślesieńskich, Warty i Widawki, aż po Górny Śląsk.

Dlaczego właśnie tak?

Przyszły Naczelny Wódz miał świadomość, że nie może oddać niektórych regionów bez walki, nawet jeśli nie ma to sensu z punktu widzenia strategii, ponieważ miałyby to ujemny wpływ na morale społeczeństwa. Stąd koncepcja czasowego stawiania oporu na tych terenach. Takie, a nie inne warunki operacji obronnej dyktował przebieg granicy z Niemcami, liczącej łącznie 1912 km. Granicy w zasadzie otwartej, nie opartej niemalże nigdzie na naturalnych przeszkodach, nie licząc niewielkiego odcinka Liswarty i Prosnicy oraz Obry i Noteci. W drugiej połowie marca 1939 roku ta granica wydłużyła się nam o kolejne kilkadziesiąt kilometrów na południu, po rozpadzie Czechosłowacji i powstaniu niemieckiego Protektoratu Czech i Moraw oraz faszystowskiego państwa słowackiego sprzymierzonego z Niemcami.

Nie zachowała się żadna część planu z marca 1939 roku, która zawiera myśl przewodnią Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych co do sposobu prowadzenia operacji obronnej. Zarzą-

dzenia przekazane 23 marca 1939 roku przyszłym dowódcom armii również nie zawierały myśli przewodniej przyszłego Naczelnego Wodza, ograniczając się do podania zadania danej armii wraz z ogólnymi wskazówkami wykonawczymi oraz zadań sąsiadów w mocno streszczonej formie. Jedy- nym pisemnym śladem jego rozważań jest „Instrukcja dla rozmów z francuskim Sztabem Generalnym” z 2 maja 1939 roku i przekazana ministrowi spraw wojskowych gen. Tadeuszowi Kasprzyckiemu oraz zastępcy szefa Sztabu Głównego płk. dypl. Józefowi Jakliczowi przed ich wyjazdem do Paryża.

Czy mógłby pan przybliżyć nam jej założenia?

Z instrukcji wynika, że głównym celem Śmigłego-Rydza było przygotowanie planu defensywnego, który pozwoliłby utrzymać obszary o kluczowym znaczeniu dla prowadzenia wojny, „wykorzystując nadarżające się sposobności do przeciwuderzeń odwodami, nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych”. Wojsko Polskie miało dążyć do zadania Niemcom jak największych strat. Ponadto Śmigły-Rydz liczył się z czasową utratą niektórych części terytorium, które później miały zostać odbite, gdy ruszy aliancka ofensywa na Zachodzie i Niemcy będą zmuszeni skierować część wojsk użytych przeciwko Polsce na front zachodni.

Jakie pana zdaniem były wady i zalety tej strategii?

Trudno doszukiwać się zalet takiej koncepcji obrony. Podstawową wadą całego planu polskiego było to, że plan operacyjny istniał tylko w zarysie obejmującym jedynie pierwszą fazę działań obronnych – opóźnianie na przedpolu oraz bitwę na głównej pozycji obrony. Końcem tej fazy miało być użycie odwodów Naczelnego Wodza. Zdaniem Śmigłego-Rydza niemożliwe

było przewidzenie, w jakich warunkach dojdzie do przerwania bitwy i jakie będą dokładne kierunki odwrotu. Nakazał więc skupienie się dowództw i sztabów na jak najdokładniejszym opracowaniu walk pierwszej fazy wojny.

Ponadto konieczność przestrzegania tajemnicy wojskowej zahamowała nie tylko możliwość normalnego funkcjonowania dowództw armii dowodzenia, ale również normalny w warunkach planowania i organizowania działań obieg informacji i ich wymianę z sąsiadami, co nierzadko przeniosło się również na czas prowadzenia działań. Z tego powodu cały plan wojny z Niemcami nie został przepracowany w formie gry wojennej, której celem byłaby próba weryfikacji przyjętego sposobu wykonania zadania postawionego na pierwszy etap działań przez Naczelnego Wodza. Po latach płk dypl. Marian Porwit ocenił, że błędem było, że Śmigły-Rydz „nie poddał swego planu operacyjnego sprawdzeniu drogą rozgrywki”, ponieważ takie przedsięwzięcie ujawniłoby wszystkie słabe strony planu. Zaliczył do nich przede wszystkim brak skupienia wysiłku, ograniczenie swobody działania, brak dostatecznie wczesnej wizji następnych działań, nadmierną centralizację dowodzenia.

Co najbardziej zaskoczyło polskie wojsko w pierwszych dniach walki?

Przede wszystkim ogromna przewaga techniczna i materiałowa niemieckiego Wehrmachtu. Niszczycielskie ataki powietrzne niemieckiej Luftwaffe potrafiły sparaliżować działania oddziałów i wielkich jednostek Wojska Polskiego. Wobec takiej dominacji przeciwdziałanie polskiego lotnictwa wojskowego było jedynie symboliczne. Niemalże każde niemieckie natarcie poprzedzone było niezwykle silnym przygotowaniem artyleryjskim. Skala zużycia amunicji przez niemiecką artylerię była znacznie większa niż po stronie

polskiej. Każdy kontratak czy przeciwnatarcie ze strony polskiej spotykało się z reakcją niemiecką w postaci ognia z broni maszynowej i moździerzy oraz ognia zaporowego artylerii.

Zaskakująca była również szybkość tej reakcji, co nie może dziwić w sytuacji, gdy Wehrmacht postawił na łączność radiową. Dużym zaskoczeniem dla strony polskiej były działania niemieckich wojsk szybkich – dywizji pancernych, dywizji lekkich (w zasadzie zmechanizowanych) oraz dywizji piechoty zmotoryzowanej. To niemiecki XIX Korpus Armijny gen. Heinza Guderiana rozciął ugrupowanie bojowe polskiej Armii „Pomorze” pomiędzy Tucholą a Koronowem i trzeciego dnia wojny wyszedł nad Wisłę pod Chełmem. To właśnie niemieckie dywizje pancerne i lekkie rozciąły ugrupowanie obronne Armii „Kraków” drugiego dnia wojny, zmuszając jej dowódcę gen. bryg. Antoniego Szyllinga do wystąpienia do Śmigłego-Rydza o zgodę na rozpoczęcie odwrotu. Tymczasem to właśnie Armia „Kraków” miała stanowić swoisty zawias całego polskiego manewru odwrotowego na główną pozycję obrony.

Natarcie niemieckiego XVI Korpusu Armijnego (1. i 4. Dywizja Pancerna) w tzw. luce częstochowskiej prowadzone w kolejnych dniach miało taki rozmach, że w dniach 5–7 września 1939 roku rozbite zostało północne zgrupowanie odwodowej Armii „Prusy”, a 8 września oddziały niemieckiej 4. Dywizji Pancernej podeszły pod Warszawę. Z kolei natarcie niemieckiego XV Korpusu Armijnego (2. i 3. Dywizja Lekka) doprowadziło do opanowania Kielc 5 września. W kolejnych dniach dywizje te rozbiły polskie jednostki pod Ilżą, a następnie wyszły nad Wisłę.

Tak szybkie rozbijanie polskich wojsk może pozornie wskazywać, że Niemcy nie napotykali na większy opór, tymczasem było nieco inaczej...

Oczywiście należy pamiętać, że w wielu miejscach niemieckie dywizje szybkie miały wiele problemów z pokonaniem polskiego oporu. Takie problemy miała niemiecka 4. Dywizja Pancerna pod Mokrą i Ostrowami 1 i 2 września 1939 roku, gdzie Wołyńska Brygada Kawalerii w mistrzowski sposób wykorzystwała taktyczne właściwości terenu do opóźniania niemieckiego natarcia. Tak było w Beskidzie Wyspowym, gdzie zmotoryzowana 10. Brygada Kawalerii dowodzona przez płk. dypl. Stanisława Maczka skutecznie opóźniła natarcie oddziałów niemieckiej 2. Dywizji Pancernej i 4. Dywizji Lekkiej.

Z tego co pan mówi wyłania się obraz klęski wręcz druzgocącej, aż kuśsi by w tym momencie dopytać, czy Polska miała jakiegokolwiek atuty w tej wojnie i jeżeli tak, to jakie?

Trudno mówić o jakichkolwiek atutach po stronie polskiej. Niekorzystne położenie geostrategiczne, niekorzystny przebieg granicy, ewidentne słabości techniczne i materiałowe Wojska Polskiego działały na naszą niekorzyść. Jedyne atuty znajdują na poziomie taktycznym, ale było ich za mało. 37 mm armaty przeciwpancerne wz. 36, produkowane w Polsce na licencji szwedzkiego „Boforsa” oraz polski 7,92 mm karabin przeciwpancerny wz. 35 były wówczas najlepszą bronią przeciwpancerną na świecie w swoich klasach, jednak było ich zbyt mało – odpowiednio 1200 i 3500 egzemplarzy – i były rozproszone po wszystkich pułkach piechoty i kawalerii.

Inspektor armii gen. dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer, który zginął w 1936 roku w katastrofie lotniczej, dwa lata przed swoją śmiercią mówił, że w warunkach swoistego ubóstwa materiałowego w konfrontacji z silniejszym przeciwnikiem naszym atutem powinno być ponadprzeciętne dowodzenie. Generał uważał, że jedynym atutem, jaki będziemy mogli przeciwstawić

w przyszłej rozgrywce któremukolwiek z naszych przeciwników, będzie umiejętność dobrego dowodzenia, jednak twierdził: *Nie mogę powiedzieć, abyśmy ten atut mieli w tej chwili w ręku. Przeciwnie, im więcej oddalaliśmy się od wojny, tym zatracamy poczucie rzeczywistości wojennej (...) i zamiast coraz lepiej, jesteśmy coraz gorzej przygotowani do wojny.* Te mądre słowa wypowiedziane w 1934 roku okazały się niestety prorocze. Żołnierski los oszczędził generałowi goryczy klęski w kampanii 1939 roku.

Patrząc czysto teoretycznie, w 1939 roku Polska posiadała jedną z najsilniejszych armii w Europie, pod względem sprzętu klasyfikowano ją jako 7. na świecie. Czy pomimo omawianej przez pana niemieckiej przewagi, nasza porażka była nieuchronna i nieunikniona? Kilka miesięcy później słabsza Finlandia skutecznie postawiła się znacznie silniejszemu ZSRR...

To prawda, że Polska posiadała jedną z najsilniejszych armii w Europie pod względem liczebności. Liczba uzbrojenia i sprzętu wojskowego niewiele znaczy, jeśli nie dokonamy analizy jakościowej. Zatem przestarzałe uzbrojenie i sprzęt wojskowy zaniża realną wartość sił zbrojnych. W 1939 roku Niemcy posiadały siły zbrojne liczące w czasie pokoju 1 330 000 żołnierzy i to była najsilniejsza armia w Europie. Co prawda armia sowiecka była jeszcze większa, ale nie silniejsza, co wykazał przebieg jej mobilizacji we wrześniu 1939 roku. Przewaga ilościowa, techniczna i jakościowa Wehrmachtu nad Wojskiem Polskim była tak duża, że byliśmy skazani na porażkę. Nie można porównywać kampanii polskiej 1939 roku z wojną fińsko-sowietką w 1940 roku, ponieważ Finowie dysponowali naturalnym atutem w postaci trudnego lasisto-jeziornego terenu, który obrońcy doskonale znali. Armia sowiecka wyglądała natomiast dokładnie tak samo, jak

kilka miesięcy wcześniej, czyli we wrześniu 1939 roku. Nie była gotowa na konfrontację zbrojną. Ich sukcesy w czasie kampanii polskiej wynikały z braku zdecydowanego oporu na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Jednak wszędzie tam, gdzie natrafiali na opór ponosili relatywnie duże straty zanim ten opór pokonali. Oczywiście było kilkunastu dowódców sowieckich szczebla taktycznego, którzy we wrześniu 1939 roku wykazali się umiejętnością sprawnego dowodzenia w działaniach przeciwko Polsce, ale jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Jeżeli jesteśmy już przy wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie polskie, jak to możliwe, że atak 17 września zaskoczył polskie władze?

Na to pytanie historycy cały czas nie znajdują kompleksowej odpowiedzi. Wydaje się, że władze cywilne i wojskowe starały się zaklinać rzeczywistość. Już w maju 1939 roku pojawiły się pierwsze informacje na temat zbliżenia niemiecko-rosyjskiego. Kierownictwo państwa polskiego posiadało informacje o zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow, a także o rozpoczęciu w Związku Sowieckim mobilizacji w zachodnich okręgach wojskowych, która rozpoczęła się 7 września 1939 roku. Jednak cały czas liczone na „życzliwą neutralność”, a nawet „na gotowość do pomocy materialnej, gdybyśmy się o to zwrócili”. Tego typu poglądy zakorzenione w kołach rządowych i wojskowych w moim przekonaniu świadczą o dobrze uplasowanej sowieckiej agenturze wpływu, której zakulisowe działania zdołały uspić czujność polskich polityków. Z tego powodu rola naczelnika Wydziału Wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Tadeusza Kobylańskiego w kształtowaniu tego typu poglądów jest co najmniej dwuznaczna. Wskazać jednak należy, że 12 września 1939 roku w kręgach urzędników tego resortu pojawia się hipoteza na temat tego, że Związek So-

wiecki zada Polsce cios w plecy. Pamiętać jednak należy, że w tym czasie ewakuowany z Warszawy rząd Rzeczypospolitej jest rozszany w różnych miejscowościach na Wołyniu, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych znajdowało się w Krzemieńcu i pobliskiej Białokrynicy. Znajdujący się tam ambasador francuski w Polsce Leon Noël już poprzedniego dnia informował swój rząd, że rozmaici agenci rozpoznają pogłoski o tajnym porozumieniu między Niemcami a Związkiem Sowieckim, które miało skutkować rozbiorem Polski. O tym, że mobilizacja ogłoszona w Związku Sowieckim będzie skutkować zajęciem wschodnich ziem Rzeczypospolitej informował 14 września 1939 roku swoich czytelników londyński „Daily Telegraph”.

Czy decyzja o warunkowym niepodejściu do walki z sowietami była słuszna?

17 września 1939 roku Edward Śmigły-Rydz w pierwszym zdroworozsądkowym odruchu chciał rozkazać stawienie oporu nowemu przeciwnikowi. Później jednak pojawiły się wahania dotyczące sensowności tej walki. Ostatecznie przed opuszczeniem Polski nakazał nadać przez radiostację rozkaz do wojsk o następującej treści: *Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii.* Ta naiwność Naczelnego Wodza była zaskakująca. Czyżby nie pamiętał postępowania armii sowieckiej w czasie wojny w latach 1918–1920? Czy nie słyszał o eksterminacji ludności polskiej w Związku Sowieckim? Z per-

spektywy czasu uznać należy decyzję Naczelnego Wodza za błędną. Niestety Prezydent Rzeczypospolitej oraz Rząd i Sztab Naczelnego Wodza pod wpływem niesprawdzonych meldunków o zagrożeniu wieczorem opuścili terytorium Polski.

Co zatem pana zdaniem należało wówczas zrobić?

Wyraźnie określić, że Polska znalazła się w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, który dokonał agresji, a także uczynić wszystko, aby w taki sposób traktowali agresora zarówno nasi zachodni sojusznicy – Francja i Wielka Brytania, jak i światowa opinia publiczna. W pewnym sensie konsekwencją błędnej decyzji Naczelnego Wodza było to, że sowietów zamordowali wiosną 1940 roku ponad 21 tys. przedstawicieli polskiej elity wziętych do niewoli. Prawidłowy rozkaz powinien brzmieć „Z bolszewikami walczyć. Przebić się na Węgry lub do Rumunii, w ostateczności rozpuścić oddziały i przejść do konspiracji”. Obecnie ktoś może uczynić zarzut, że łatwo jest szafować krwią żołnierską. Naczelny Wódz miał do tego prawo w dwóch wypadkach – gdyby istniało wysokie prawdopodobieństwo, że prowadzone działania doprowadzą do rozstrzygnięcia, czyli zwycięstwa (co w kampanii 1939 roku nie zdarzyło się) oraz w sytuacji ostatecznej, w celu ratowania położenia, a taka sytuacja zaistniała 17 września 1939 roku.

Rozmawiał Mateusz Wyderka

Pułkownik dr hab. Juliusz S. Tym – profesor Akademii Sztuki Wojennej, kierownik projektu naukowego „Kampania polska 1939 roku – synteza” największego w Polsce i w Europie projektu naukowego w dziedzinie nauk humanistycznych, skupiającego ponad 100 naukowców z Polski i z zagranicy. Autor kilkunastu monografii na temat dziejów oręża polskiego.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

TEKST | Norbert Nowotnik

Pomorze 1939

– laboratorium niemieckich zbrodni

Zbrodnie pomorska – eksterminacja polskiej ludności cywilnej m.in. inteligencji, rolników, robotników, także Żydów oraz pacjentów szpitali psychiatrycznych – miała miejsce w pierwszych miesiącach agresji III Rzeszy Niemieckiej i brutalnej okupacji przedwojennego województwa pomorskiego. Na Pomorzu Gdańskim w 1939 roku w około 400 miejscowościach zamordowano wówczas – według szacunków historyków – ok. 30 tys. osób.

– **P**omorze było od początku laboratorium niemieckich zbrodni. Tu najwcześniej, jesienią 1939 roku, rozpętało straszliwy terror (...). Pomorze było swoistym jądrem ciemności nazistowskiej polityki na podbitych wtedy terenach – ocenił historyk Paweł Machcewicz, który jest pomysłodawcą i współtwórcą Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

We wrześniu 1939 roku, tuż po niemieckiej napaści na Polskę, Pomorze stało się bowiem areną jednej z najbardziej krwawych i zarazem najmniej znanych zbrodni II wojny światowej. W ciągu zaledwie kilku miesięcy wymordowano tam od co najmniej 16 do 40, a nawet 50 tys. osób – przedstawicieli polskiej inteligencji, nauczycieli, lekarzy, urzędników, księży, działaczy społecznych i politycznych, redaktorów gazet i dziennikarzy, studentów i uczniów, ale także ludność żydowską i osoby chore psychicznie. Z całą pewnością zbrodnia pomorska była pierwszym masowym ludobójstwem dokonany przez III Rzeszę na okupowanych ziemiach polskich – krwawym preludium do późniejszej polityki eksterminacyjnej, której kulminacją stał się Holokaust.

Region na celowniku

Po wybuchu II wojny światowej pod okupacją niemiecką znalazło się 48 proc. powierzchni przedwojennego państwa polskiego z ok. 22 milionami obywateli. Pomorze, ale także Ma-

zowsze, Wielkopolskę, Ziemię Łódzką i Śląsk wcielono bezpośrednio do III Rzeszy, a z pozostałych terenów utworzono Generalne Gubernatorstwo, które w zamierzeniu Niemców miało być rezerwuarem taniej siły roboczej. Od pierwszych dni okupacji, na terenach anektowanych, prowadzono brutalną politykę germanizacji. – *Wszyscy fachowcy polskiego pochodzenia winni być wykorzystani w naszym przemyśle zbrojeniowym. Później wszyscy Polacy znikną ze świata. (...) Dlatego jest konieczne, aby wielki naród niemiecki widział swoje główne zadanie w unicestwieniu wszystkich Polaków* – podkreślał dowódca SS Heinrich Himmler.

Ludzie często byli zabierani nocą, z własnych domów, pod pretekstem przesłuchań lub konieczności złożenia wyjaśnień

Pomorze Gdańskie, zwane też Pomorzem Nadwiślańskim, miało dla III Rzeszy znaczenie strategiczne i symboliczne. Po traktacie wersalskim większość tych ziem przypadła II Rzeczypospolitej, co Niemcy uznawali za „krzywdę dziejową”. W oczach nazistowskich ideologów Pomorze było „odwiecznie niemieckie” i wymagało „oczyszczenia” z polskiego żywiołu.

W praktyce oznaczało to planowe wyniszczenie polskiej elity narodowej oraz fizyczną likwidację tych, którzy mogli stanąć na czele oporu wobec okupanta. Istotą tych działań było pozbawienie wolności i życia tych Polaków, którzy jako warstwa przywódcza mogli skutecznie przeciwstawić się okupantom i stanowić dla nich realne zagrożenie. Mimo że polscy intelektualiści trafiali do obozów koncentracyjnych (budowę obozu w Stutthofie rozpoczęto latem 1939 roku, a już 2 września wysłano tam pierwszy transport więźniów), to jednak większość z nich została zamordowana przez Niemców w pomorskich lasach.

Przygotowania do terroru rozpoczęto jeszcze przed wybuchem wojny.



Nauczyciele prowadzeni na rozstrzelanie 1 listopada 1939 r. w Fordonie
FOT. ZE ZBIORÓW IPN (2)

Niemieckie służby specjalne tworzyły listy proskrypcyjne – tzw. Sonderfahndungsbuch Polen – obejmujące polityków, duchownych, nauczycieli, lekarzy, oficerów rezerwy czy działaczy



Egzekucja w Piaśnicy FOT. BUNDESARCHIV (2)



społecznych. W języku niemieckich nazistów były to osoby „niepożądane z punktu widzenia bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy”. Wydanie wyroku śmierci następowało często automatycznie: wystarczyło, że ktoś działał w polskich organizacjach kulturalnych, był harcerzem albo wyróżniał się autorytetem w lokalnej społeczności.

Jesień 1939 – czas terroru

Już pierwsze dni września przyniosły falę aresztowań. Na podstawie przygotowanych wcześniej list policja niemiecka, Gestapo i Selbstschutz wyłapywały polską elitę. Ludzie często byli zabierani nocą, z własnych domów, pod pretekstem przesłuchań lub konieczności złożenia wyjaśnień. Wielu z nich już nigdy nie powróciło do rodzin.

Egzekucje przeprowadzano w lasach, na polanach, w kamieniołomach. Największe miejsca kaźni to Las Piaśnicki pod Wejherowem, gdzie od października 1939 do wiosny 1940 roku zamordowano 12–14 tys. osób, oraz Las Szpegawski koło Starogardu Gdańskiego, gdzie zginęło około 7–8 tys. ludzi. W Mniszku pod Świeciem ofiarą padło kilka tysięcy Polaków i Żydów. W lasach koło Fordonu pod Bydgoszczą rozstrzelano kilka tysięcy mieszkańców Bydgoszczy i okolic, w tym osoby oskarżane o udział w wydarzeniach tzw. „krwawej niedzieli” – niemieckiej prowokacji, która posłu-

żyła jako pretekst do masowych represji.

Zbrodniarze działali brutalnie. Egzekucje odbywały się nocą: ofiary ustawiano nad wykopanymi wcześniej dołami, strzelano w tył głowy, ciała zasypywano ziemią i piaskiem. Wiele relacji mówi o bestialskich torturach poprzedzających śmierć – biciu, upokarzaniu, znęcaniu się nad duchownymi czy kobietami. – *Pięć lub sześć osób ustawiano w pozycji kłęczącej lub stojącej w pobliżu przygotowywanych uprzednio grobów. Do kopania ich wynajmowani byli mieszkający w okolicy niemieccy rolnicy. Ofiary ginęły od strzału w tył głowy, oddawanego z odległości około metra. Kilkaś metrów od miejsca egzekucji reszta więźniów oczekiwała na swoją kolej, słysząc strzały i krzyki zabijanych. Relacje świadków, wyniki ekshumacji i oględziny miejsca zbrodni potwierdzają, że śmierć następowała również wskutek dobijania rannych ciosami zadanymi kolbami karabinów, a także roztrzaskiwania główek dzieci o pnie drzew* – podało wstrząsające informacje Muzeum Piaśnickie w Wejherowie, przedstawiając przebieg zbrodni w Lasach Piaśnickich.

– *Wykopaliśmy około 10 dołów (...). W dwa lub trzy dni po wykopaniu pierwszego dołu słychać było w porze popołudniowej strzały karabinowe, a następnie karabinów maszynowych. Strzały trwały ponad godzinę. Odgłos strzałów dochodził od*

strony, gdzie właśnie kopaliśmy doły. Domyśliłem się, że przy tych dołach odbywa się rozstrzeliwanie Polaków – brzmi relacja jednego z okolicznych mieszkańców, przywołana z kolei w monografii Barbary Bojarskiej, cenionej badaczki zbrodni w Lasach Piaśnickich.

Selbstschutz

Szczególną rolę w przygotowaniach i późniejszych mordach odegrał Selbstschutz, paramilitarna formacja złożona z miejscowych Niemców – często sąsiadów i dawnych znajomych ofiar. To właśnie jej członkowie, znając dokładnie lokalne środowisko, wskazywali polskich działaczy, a później uczestniczyli w egzekucjach.

Szczególnym celem byli przedstawiciele polskiej inteligencji, urzędnicy – m.in. z administracji granicznej – oraz policjanci, ponieważ ich eliminacja miała osłabić opór społeczeństwa.

Niemieccy agresorzy wiedzieli o przywiązaniu Polaków do Pomorza, dlatego chcieli przeprowadzić zbrodnicze działania na tym terenie szybko i masowo.

Skala ofiar

Dokładne ustalenie liczby ofiar zbrodni pomorskiej jest trudne – okupanci starali się zatrzeć ślady, a część ciał spalono. Historycy Instytutu Pamięci Narodowej, na podstawie badań archiwalnych i ekshumacji, oceniają liczbę ofiar na 30–40 tys. Z racji roz-

miarów zbrodni do dziś określana jest ona jako „pomorski Katyń” lub „kaszubska Golgota.

W samym tylko lesie piasznickim spoczywa od 12 do 14 tys. osób – w tym około dwa tysiące Żydów przywiezionych z Rzeszy, pacjentów zakładów psychiatrycznych z Niemiec i Gdańska, a także miejscowej ludności kaszubskiej i polskiej inteligencji. W Szpęgawsku mordowano księży, nauczycieli, ziemian, urzędników i działaczy społecznych. Ofiary zbrodni pomorskiej nie były przypadkowe – stanowiły „kręgosłup” lokalnych społeczności. Likwidując ich, Niemcy chcieli trwale zniszczyć polską tożsa-

Ofiary ginęły od strzału w tył głowy, oddawanego z odległości około metra. Kilkaset metrów od miejsca egzekucji reszta więźniów oczekiwała na swoją kolej, słysząc strzały i krzyki zabijanych

mość narodową na Pomorzu i ułatwić germanizację regionu.

Inne miejsca zbrodni w ramach Intelligenzaktion (bo tak Niemcy nazywali tę zbrodnię) to m.in. Mniszk pod Świeciem oraz osławiona „Dolina Śmierci” w Bydgoszczy, czyli w wąwozie pomiędzy wzgórzami na obrzeżach obecnie największej bydgoskiej dzielnicy mieszkaniowej – Fordonu. W 1939 roku miejsce to było oddalone od miasta, a Niemcy zamordowali tam ok. 1200 Polaków, głównie nauczycieli, urzędników, kupców, rzemieślników, lekarzy i duchownych. Od wielu lat już wiadomo, że oprawcy do ostatnich chwil znęcali się nad

ofiarami, a nawet tuż przed uśmierceniem robili im zdjęcia „portretowe”, które odnaleziono po wojnie.

Warto też pamiętać, że we wspomnianym obozie koncentracyjnym w Stutthofie zginęło w latach 1939–1945 około 65 tys. osób. Mordowano przedstawicieli polskiej inteligencji, Żydów, członków polskich grup oporu, osoby „nienawidzące Niemców i judzące przeciwko Niemcom”, ludzi niegdyś sympatyzujących z Polakami, rzekomych przywódców i współsprawców tzw. bydgoskiej „krwawej niedzieli”, ofiary aktów zemsty i denuncjacji.

Świadectwa ocalałych

Mimo brutalnych prób zatarcia śladów, już w czasie wojny mieszkańcy Pomorza starali się dokumentować zbrodnie. Nocami zaznaczano miejsca egzekucji, sporządzano listy zaginionych. Po wojnie prowadzone były ekskhumacje – często w dramatycznych warunkach. W Piasznicy odsłonięto w latach 60. pomnik, a las stał się miejscem pielgrzymek i uroczystości patriotycznych. Świadkowie, którzy przeżyli, wspominali zbrodnię jako doświadczenie graniczne. Mówili o sąsiadach Niemcach, którzy wskazywali Polaków, o nocnych transportach ciężarówek, o krzykach dobiegających z lasu i o dołach pełnych ciał, z których unosił się słodkawy zapach rozkładu. Relacje te – często spisywane po latach – stanowią dziś bezcenne źródło wiedzy o mechanizmach nazistowskiej przemocy.

Dopiero po 1989 roku temat „zbrodni pomorskiej” zaczął zajmować należne miejsce w polskiej pamięci historycznej. IPN prowadzi szeroko zakrojone śledztwa, powstają filmy dokumentalne i publikacje, a w miejscach egzekucji odbywają się uroczystości państwowe. Mimo to świadomość społeczna wciąż jest ograniczona – w cieniu Katynia czy Powstania Warszawskiego mordy pomorskie po-

zostają mniej obecne w zbiorowej wyobraźni.

Znaczenie zbrodni pomorskiej

Historycy zgodnie podkreślają, że wydarzenia na Pomorzu w 1939 roku były pierwszym aktem ludobójstwa II wojny światowej. W odróżnieniu od



FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM MIASTA GDAŃ

wcześniejszych represji, które miały charakter punktowy, tutaj mieliśmy do czynienia z planowym, masowym mordem, realizowanym zgodnie z politycznymi dyrektywami III Rzeszy. Była to część szerszej zakrojonej Intelligenzaktion – akcji wymierzonej w polską elitę.

Wydaje się zatem, że pamięć o ofiarach Pomorza to nie tylko kwestia historii. To pytanie o współczesność: jak pielegnować wrażliwość, która nie pozwoli na powtórzenie podobnych zbrodni? Jak chronić prawdę w świecie, w którym historia bywa relatywizowana i instrumentalizowana? W roku, w którym obchodzimy kolejne rocznice wybuchu II wojny światowej, w tym także sowieckiej agresji z 17 września 1939 roku, warto głośno powtarzać: Pomorze było pierwszym miejscem, gdzie Niemcy zastosowali masowy terror wobec polskiej ludności. Pamięć o tamtych ofiarach to nie tylko obowiązek historyków, lecz także fundament naszej wspólnej tożsamości. ■



Mirosław Andrzejewski, kwiecień 1985 r.
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Wytrwale w stronę wolności

W momencie internowania miałem 19 lat. Władza uznała, że jestem niebezpieczny i przyszli po mnie nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku – powiedział w rozmowie z „Kombatantem” Mirosław Andrzejewski, wielokrotnie zatrzymywany i represjonowany działacz opozycji antykomunistycznej internowany w Ośrodkach Odosobnienia w Białej Podlaskiej, Włodawie oraz w ośrodku w Kwidzynie, z którego zbiegł w sierpniu 1982 roku.

Obecnie toczy się proces 26 byłych funkcjonariuszy Służby Więziennej, oskarżonych o pobicie w 1982 roku ponad stu internowanych w Kwidzynie. Byłeś wówczas więziony w tym ośrodku, ale nie zostałeś pobity. Jak udało Ci się uniknąć tej brutalnej pacyfikacji?

Tydzień przed pobicie udało mi się zbiec z więzienia – a właściwie wyjść główną bramą w biały dzień, o godzinie 14.30. W biurze przepustek podałem się za osobę odwiedzającą. Na szczęście żaden z funkcjonariuszy mnie nie rozpoznał. Pomysł ucieczki narodził się

spontanicznie podczas widzenia z bratem Leszkiem – i to właśnie z nim opuściłem mury zakładu karnego. Później przez pięć miesięcy się ukrywałem, aż do czasu zawieszenia stanu wojennego, kiedy to zlikwidowano wszystkie ośrodki internowania.

Jak przedstawiciele władz zareagowali na Twoją ucieczkę? Czy znasz relacje współwięźniów z przebiegu wydarzeń 14 sierpnia 1982 roku w Kwidzynie?

Znam relacje nie tylko internowanych, ale również władz więziennych.

Wiosną 1983 roku miałem sprawę karną za ucieczkę. W aktach znajdowały się między innymi zeznania zarówno funkcjonariuszy, jak i kolegów z celi. Po latach dotarłem także do dokumentów przechowywanych w IPN. Władze więzienne dowiedziały się o mojej ucieczce dopiero podczas wieczornego apelu. Początkowo szukano mnie na terenie zakładu karnego, sądząc, że ukryłem się gdzieś w budynkach więziennych. Komendant Komendy Wojewódzkiej MO w Siedlcach został powiadomiony telefonogramem dopiero następnego dnia. Władze



FOT. Z ARCHIWUM IPN

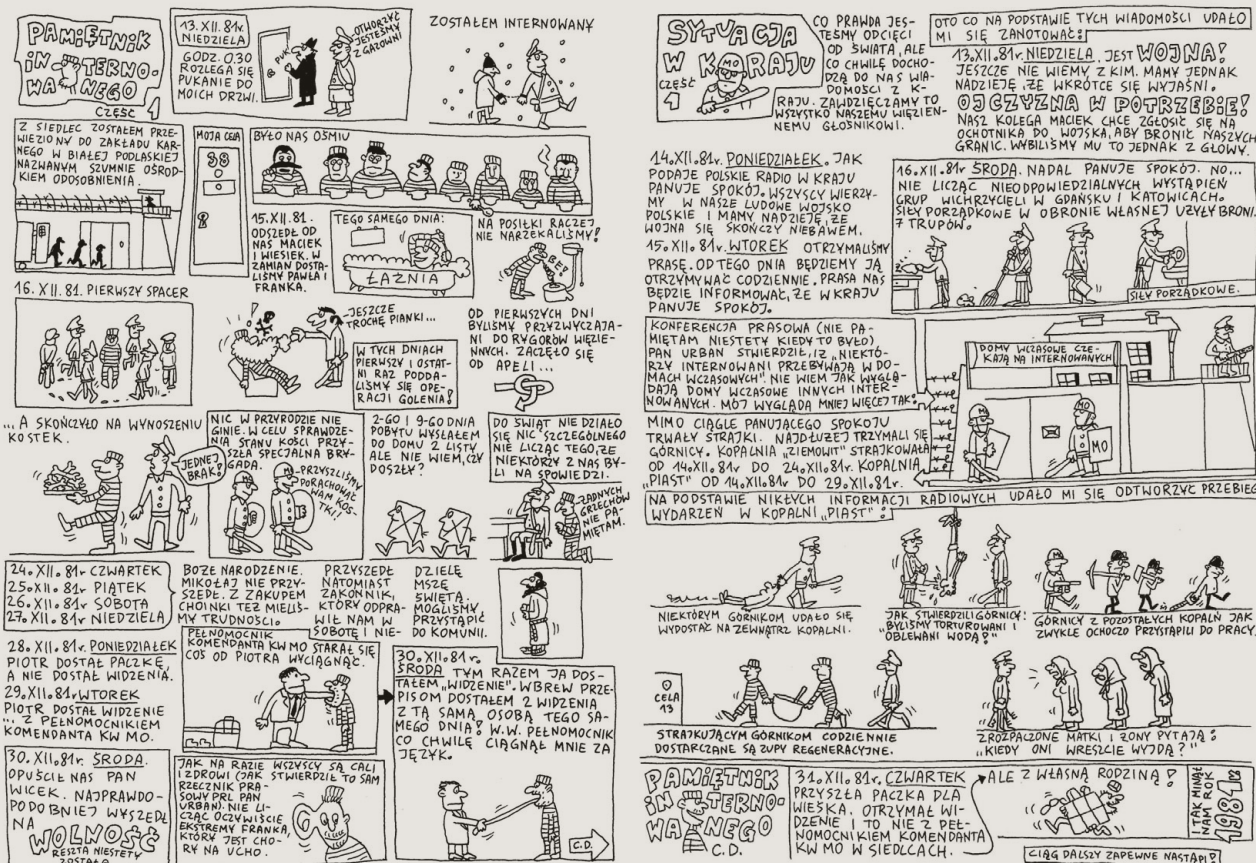
sprawujące nadzór nad zakładem uznały, że dotychczasowy komendant ośrodka odosobnienia nie radzi sobie z sytuacją, i odwołały go, mianując na jego miejsce kapitana Juliusza Pobłockiego z Zakładu Karnego w Sztumie. Miał za zadanie przywrócić „porządek” w więzieniu. Efektem jego działań było brutalne pobicie internowanych – tydzień po mojej ucieczce.

O pacyfikacji dowiedziałem się z radia „Głos Ameryki”. Wówczas ukrywałem się w Karsiborze koło Wałcza, dzieląc pokój z młodym małżeństwem w hotelu robotniczym. Później, już po ujawnieniu się, jeździłem na procesy internowanych do Elbląga, wiosną 1983 roku.

Najbardziej pobici internowani zostali oskarżeni o czynną napaść na funkcjonariuszy służby więziennej i dostali wieloletnie wyroki.

Na szczęście opuścili więzienie na mocy amnestii, która została ogłoszona

latem 1983 roku. Miałem więc możliwość bezpośrednio przysłuchiwać się sprawie. Nie było to łatwe, bo na teren sądu można było wejść wyłącznie po okazaniu przepustki, którą mogła otrzymać tylko najbliższa rodzina osób postawionych w stan oskarżenia. Po-daliśmy się wtedy za osobę spokrewnioną z rodziną Goławskich. W procesie byli oskarżeni między innymi Andrzej i Zygmunt Goławscy z Siedlec. Należeli oni do najbardziej poszkodowanych podczas masakry 14 sierpnia 1982 roku. Oprawcy pamiętali ich prawdopodobnie z poprzedniego buntu, jaki miał miejsce w maju 1982 roku i się na nich wyżywali. Andrzeja Goławskiego wywleczono z celi za włosy i bito aż upadł, leżącego kopano do utraty przytomności. Nieprzytomnego okładano drewnianymi pałkami po całym ciele. Goławski kilka razy tracił przytomność ale nadal był bity. Podobnie, tylko z gorszym dla jego zdrowia skutkiem, potraktowano Zygmunta.



Dekret o stanie wojennym stanowił, że „obywatele mający ukończone lat 17, w stosunku do których ze względu na dotychczasowe zachowanie się zachodzi uzasadnione podejrzenie, że pozostając na wolności nie będą przestrzegać porządku prawnego albo będą prowadzić działalność zagrażającą interesom bezpieczeństwa lub obronności państwa, mogą być internowani”. Powiedz, co takiego robiłeś przed 13 grudnia 1981 roku, że wzbudziłeś podejrzenie, że będziesz zagrażał władzy ludowej? Ile miałeś wtedy lat?

W momencie internowania miałem 19 lat, ale już dwa lata wcześniej w wieku 17 lat zaangażowałem się w działalność opozycyjną wobec komunistycznej władzy. Nawiązałem wtedy kontakt ze Stanisławem Karpikiem. Razem z nim wykonywaliśmy na murach Siedlec i okolicznych miejscowości antykomunistyczne napisy, rozrzucaliśmy ulotki i kolportowaliśmy nielegalną prasę w siedleckich szkołach. W sierpniu 1980 roku wraz z Karpikiem i mecenasem Janem Mizikowskim udaliśmy się na strajk do Stoczni Gdańskiej. Tam spotkałem się z Aleksandrem Hallem, liderem nielegalnego Ruchu Młodej Polski i otrzymałem od niego zgodę na organizowanie struktur RMP na terenie Siedlec. Zaangażowanych w działalność siedleckiego RMP było kilkanaście osób, głównie młodzież szkół średnich. Wydawaliśmy własną gazetkę „Młoda Myśl”, później „ABC”. Zorganizowaliśmy koło samokształceniowe, organizowaliśmy i braliśmy udział w manifestacjach patriotycznych. Oczywiście dalej malowaliśmy napisy na murach, kolportowaliśmy bibułę i rozrzucaliśmy ulotki. Poza tym zaangażowałem się w działalność niezależnego harcerstwa, a po rozpoczęciu studiów w działalność Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Duszpasterstwa Akademickiego.



FOT. Z ARCHIWUM IPN



Po wprowadzeniu stanu wojennego pozostający na wolności działacze Ruchu Młodej Polski zawiesili jego działalność, ogłaszając, że oddają się do dyspozycji podziemnej Solidarności. Czy w Siedlcach było podobnie? Jakie były dalsze losy młodych ludzi tworzących RMP w twoim mieście?

Tak, u nas było podobnie. Po 13 grudnia cztery osoby z siedleckiego RMP zostały internowane. Część osób, które pozostały na wolności, podjęły działalność podziemną w ramach szeroko rozumianego ruchu Solidarności, a część wycofała się z aktywnej działalności konspiracyjnej. Kilka osób wyjechało na studia do innych miast, głównie do Warszawy i Lublina i tam kontynuowały działalność w podziemiu. W Siedlcach najaktywniejszy z naszego środowiska był Cezary Kaźmierczak, który założył podziemne wydawnictwo Metrum. W Warszawie Ty współtworzyłeś podziemne agencje informacyjne „AIS” (Agencja Informacyjna „Solidarność”) a później KAT (Krajowa Agencja Terenowa), co przypłaciłeś więzieniem. Bracia Adam i Witold Bobrykowie włączyli się w działalność niezależnej od komunistycznych władz Polskiej Partii Socjalistycznej. Edward Kopówka wydawał swoje wiersze w podziemnym wydawnictwie im. Grzegorza Przemyska, kolportował bibułę i uczestniczył w nielegalnych manifestacjach. Często SB podczas identyfikacji zdjęć myliła go ze mną. Ja zacząłem publikować rysunki satyryczne w prasie podziemnej, zajmowałem się również kolportażem i rozrzucaniem ulotek. Było też kilka przypadków zwerbowania naszych kolegów do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Najwięcej szkody wyrządził nam agent o pseudonimie Andy.

Opowiedz, jak wyglądały warunki internowania w Kwidzynie przed twoją ucieczką.

Warunki w Kwidzynie były dużo lepsze niż w więzieniach w Białej Podlaskiej i Włodawie, w których wcześniej przebywałem. Cele były większe, nie było piętrowych łóżek, toalety w celach były całkowicie zabudowane. W ciągu dnia mieliśmy otwarte cele. Z czasem też mieliśmy wydłużony spacer. Początkowo była to jedna godzina dziennie, później mogliśmy przebywać na spacerze od śniadania do kolacji. W jednej z cel mieliśmy wygo-

spodarowaną stołówkę. Do dyspozycji mieliśmy też świetlicę z telewizorem i stołem do tenisa stołowego. Mogliśmy też korzystać z boisk, które znajdowały się na terenie zakładu karnego. Z miejscowej parafii odwiedzał nas ksiądz i w niedziele odprawiał msze św. Raz w miesiącu mieliśmy prawo do kontaktu z rodzinami. Niestety, widzenia trwały tylko godzinę. Rodziny, żeby nas odwiedzić, musiały pokonać kilkaset kilometrów. Taka podróż

Proces byłych funkcjonariuszy Służby Więziennej w Kwidzynie

16 czerwca 2025 roku w Sądzie Rejonowym w Kwidzynie ruszył proces 26 byłych funkcjonariuszy Służby Więziennej oskarżonych o pobicie i znęcanie się nad internowanymi w Ośrodku Odosobnienia. Sprawa dotyczy wydarzeń z 14 sierpnia 1982 roku.

Przebieg rozprawy

Akt oskarżenia początkowo objął 27 osób, jednak wobec jednego z oskarżonych postępowanie umorzono z powodu jego śmierci. Na sali pojawiło się ośmiu podsądnych – wszyscy około siedemdziesiątki – a dwóch opuściło rozprawę przed odczytaniem aktu oskarżenia. Wniosek obrońców o utajnienie procesu został odrzucony, ponieważ sąd uznał, że jawność nie narusza prywatnych interesów oskarżonych. Prokurator IPN, Mieczysław Góra, odczytał zarzuty, kwalifikując czyny jako **zbrodnie komunistyczne przeciwko ludzkości**.

Ustalenia śledczych

Według prokuratury funkcjonariusze dopuścili się brutalnych pobic oraz systematycznego upokarzania internowanych:

- **Obrażenia:** m.in. krwaki i obrzęki mózgu, złamania kręgow kręgosłupa, urazy nerek, uszkodzenia siatkówki, rozległe stłuczenia i utraty przytomności.
- **Skala:** tego dnia pomoc lekarską otrzymało 44 internowanych, w kolejnych dniach blisko 20, a 12 osób trafiło do szpitala. W sumie obrażeń doznało co najmniej 60 osób.
- **Znęcanie psychiczne:** zmuszanie do niszczenia symboli religijnych, lizania napisów ze ścian, całowania butów strażników, wąchania pałek, sprzątania cel celowo zabrudzonych, a także szczucie psami, opluwanie i niszczenie żywności.

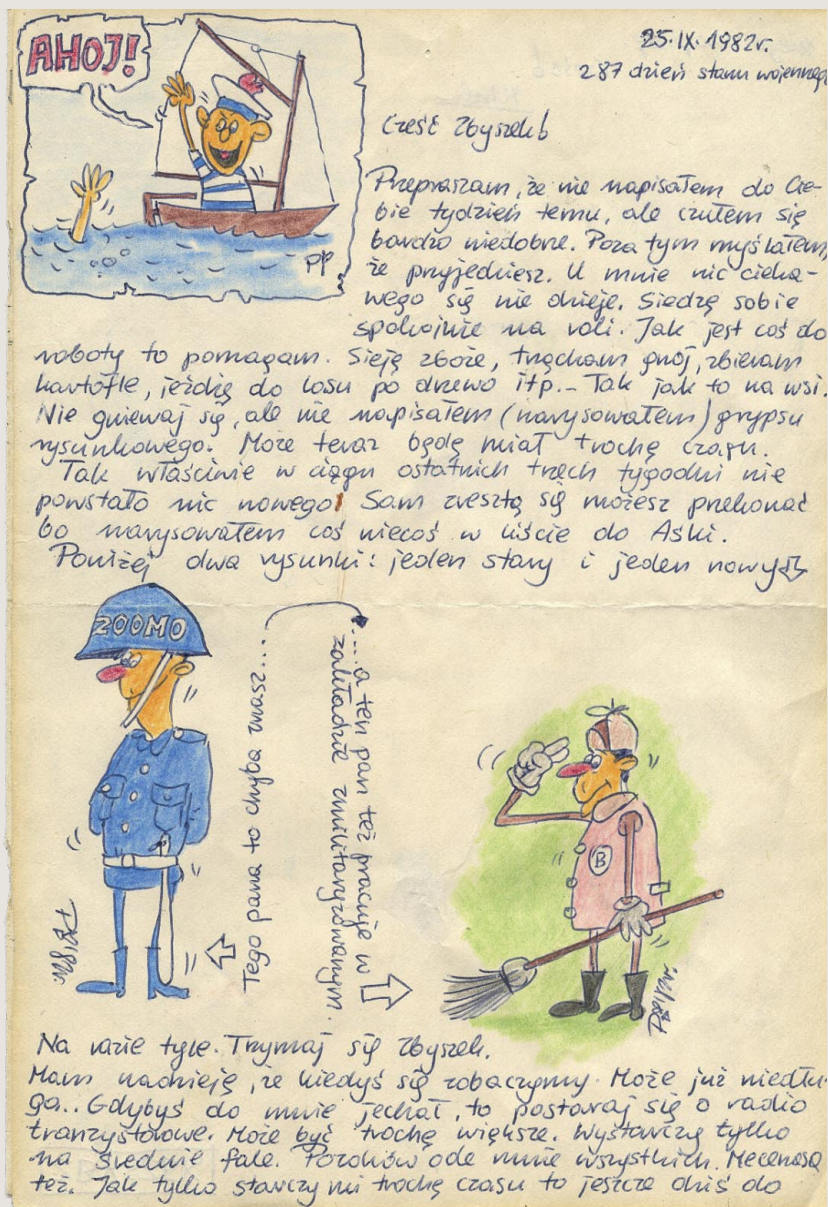
Za zarzucane czyny byłym funkcjonariuszom grozi kara do **8 lat więzienia**.

w jedną stronę państwowymi środkami lokomocji trwała zazwyczaj kilkanaście godzin.

Dolegliwością były częste rewizje, którym byliśmy poddawani. Powodowało to czasem konflikty między nami a służbą więzienną. Na terenie więzienia toczyło się życie konspiracyjne. Było wydawane pismo „Nasza Krata”, działała podziemna Poczta Internowanych, która wydawała własne znaczki i stemplowane koperty. Na kasetach magnetofonowych nagrywane były więzienne i antykomunistyczne piosenki, które potem były przemycane na zewnątrz więzienia. W wielu celach widniały duże napisy Solidarność i KPN. Każdego trzynastego obchodziliśmy miesięcznice wprowadzenia stanu wojennego. Po pobicu internowanych 14 sierpnia 1982 roku wiele tych inicjatyw zostało znacznie ograniczonych przez nowe władze więzienne. Na przykład kazano internowanym zdrapać napisy Solidarność i KPN wewnątrz cel.

Podczas stanu wojennego zakazano zmiany miejsca pobytu, na wylotach z miast ustawiono szlabany i posterunki wojskowe, wyprowadzono na ulice uzbrojone patrole, obowiązywała godzina milicyjna, podsłuchiwano rozmowy telefoniczne, kontrolowano korespondencję. Jak zatem ukrywałeś się przed ścigającą Cię, po ucieczce z Kwidzyna, Służbą Bezpieczeństwa? Co wtedy robiłeś? Jak długo się ukrywałeś?

Z więzienia uciekłem 7 sierpnia 1982 roku, kiedy wiele z tych zakazów już nie obowiązywało. Z telefonu nie korzystałem, bo go nie miałem, listy do rodziny i znajomych przekazywałem przez zaufane osoby. Nie korzystałem więc z państwowej poczty. Ukrywałem się w wielu miejscach. Na początku w Gdańsku, bo tam wtedy mieszkał i pracował mój brat Leszek. Baliśmy się pójść do jego mieszkania, bo obawialiśmy się nalotu Służby Bezpie-



czeństwa. Pierwszą osobą, która nam pomogła, był ks. prałat Henryk Janowski. Od niego dostałem adres do kolegi z internowania, Arnolda Kalinowskiego, którego wcześniej zwolniono z więzienia. Spędziłem u niego kilka pierwszych dni. Potem ukrywałem się w Pisz, w Bialikach koło Kolna, w Karsiborze koło Wąlcza, w Głównie i Dłużcu koło Mrągowa, w Łukowie, w Świeciechowie Dużym koło Annapola, Biłgoraju, Kraśniku i Zamościu. Od grudnia 1982 roku do momentu ujawnia się w styczniu 1983 roku ukrywałem się w Siedlcach.

Ukrywałem się głównie u rodziny, ale schronienia udzielali mi też księża, byli internowani, oraz osoby zupełnie mi obce. Mam wobec nich duży kredyt wdzięczności, bo za pomoc w ukrywaniu groziła kara więzienia. W czasie ukrywania nie podjąłem działalności konspiracyjnej. Bałem się, że mogę tym narazić na niebezpieczeństwo osoby, które udzielały mi schronienia. Gdy ukrywałem się na wsi, to pomagałem w polu, rąbałem drewno, trochę rysowałem, czytałem zaległe lektury, słuchałem radia. Najgorsze były miejsca, gdzie nie mogłem wychodzić na zewnątrz w obawie przed dekon-

spiracją. Wtedy trzeba było walczyć z nudą.

W roku 1985 ponownie zostałeś aresztowany. Co się wówczas wydarzyło?

Aresztowano mnie 14 lutego za kolportaż ulotek, niecałe dwa miesiące przed planowanym ślubem z Agnieszką, koleżanką z harcerstwa i uczestniczką RMP. Rozprawa odbyła się 1 kwietnia. Zostałem skazany na karę 11 miesięcy więzienia. Ślub odbył się tydzień po rozprawie. Dostałem na niego przepustkę i po ślubie wróciłem do więzienia. Pisała o nim podziemna prasa, wspomniane już siedleckie „Me-

Początkowo, jeszcze przed sierpniem 1980 roku, ukrywałem swoją działalność konspiracyjną przed rodzicami. Wszystko wydało się, gdy w czerwcu 1980 roku podczas akcji malowania napisów nakryła nas milicja. Udało nam się zbiec, ale bałem się wracać do domu w obawie przed aresztowaniem. Noc spędziłem u kolegi. W tym czasie zaniepokojeni rodzice przeszukali moje rzeczy i znaleźli kwit z depozytu milicyjnego z wcześniejszego zatrzymania. I tak zostałem „zdekonspirowany”. Początkowo rodzice bardzo się bali i próbowali jakoś wybić mi z głowy konspirację. Wszystko zmieniło się po moim kolejnym za-

Swoje pierwsze polityczne rysunki satyryczne zacząłem publikować w wieku 17 lat w szkolnej gąblotce w 1979 roku. Nie spodobało się to dyrekcji liceum, do którego wówczas uczęszczałem. Grożono mi usunięciem ze szkoły. Później zacząłem rysować do pism, które sam współredagowałem, czyli do wspomnianego wcześniej pisma siedleckiego RMP „ABC” oraz do biuletynu „Nierzeczywistość” wydawanego podczas strajku studenckiego w listopadzie i grudniu 1981 roku. Po internowaniu zacząłem wykonywać rysunki w więzieniu dla kolegów z celi. Podobnie było podczas mojej drugiej odsiadki w 1985 roku.

Po wyjściu z więzienia rozpocząłem współpracę jako rysownik z wydawnictwami drugiego obiegu. Na początku było to siedleckie wydawnictwo „Metrum”. Rysowałem też dla „KOS-a”, „Solidarności Radia i Telewizji” i wydawnictwa „Przedświt”. Pojedyncze rysunki ukazywały się w „PWA” (Przegląd Wiadomości Agencyjnych), „Pogłędzie”, „Grizzly”, „A Capella”, „Biuletynie Łódzkim”, „Nurcie”, „Obrazie”, pismach wydawanych przez środowisko Ruchu „Wolność i Pokój” oraz wielu innych. Często nie miałem nad tym kontroli, bo prawie nikt wtedy nie przejmował się w podziemiu czymś takim jak prawa autorskie. Z cenzurą nie miałem żadnych problemów, bo wszystko wydawałem poza cenzurą. Jedyny przypadek, kiedy moje rysunki zostały zgłoszone do cenzury, to był styczeń 1989 roku, kiedy to legalnie działające Towarzystwo Miłośników Podlasia chciało zorganizować mi wystawę. Wystawa w całości została odrzucona przez cenzurę. Doszło do niej rok później, bo tym razem to cenzura została odrzucona w całości. Dokonał tego Sejm po wygranych 4 czerwca 1989 roku przez Solidarność wyborach, likwidując Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk.

**Rozmawiał
Przemysław Maksymiuk**



trum” i warszawski „KAT”. Najwyraźniej autorzy tych relacji byli na moim ślubie.

W tym samym czasie, kiedy siedziałeś w więzieniu, pozbawiony wolności był także twój brat Leszek, a siostra Joanna karana była przez kolegów do spraw wykroczeń za udział w demonstracjach. Dom nachodzili funkcjonariusze MO i SB, wzywano na przesłuchania, przeprowadzano rewizje. Jaki stosunek do waszego zaangażowania w antykomunistyczną działalność konspiracyjną mieli wasi rodzice?

trzymaniu w milicyjnym areszcie na 48 godzin w listopadzie 1980 roku. Rodzice zaczęli mnie wspierać. Po wprowadzeniu stanu wojennego w działalność konspiracyjną zaangażowała się już praktycznie cała rodzina.

Z komunistycznym zniewoleniem walczyłeś także humorem i satyrą. Po latach stałeś się zawodowym rysownikiem i jesteś nim do dzisiaj. Jak wspominasz próby jawnej działalności jako autor rysunków satyrycznych w czasach PRL? Cenzorom w Siedlcach chyba nie bardzo podobały się wtedy Twoje rysunki.



KADRY Z FILMU „KANAL” W REŻYSERII ANDRZEJA WAJDY

TEKST | Waldemar Kowalski

Zamordowani w akcie zemsty

Jedna decyzja. Tylko tyle i aż tyle. Miała dać wytchnienie, być gwarancją ocalenia. Zapoczątkowała niewyobrażalny dramat. 27 września 1944 roku, przy ul. Dworkowej na Mokotowie, dwie zbłąkane grupy powstańców wyszły z kanałów i trafiły prosto w ręce Niemców. Około 140 żołnierzy Armii Krajowej zginęło od kul, choć wcześniej zagwarantowano im prawa jeńców wojennych.

Świadek dramatycznych wydarzeń sprzed 81 lat podkreślał: *Niemcy strzelali z zimną krwią, mimo że wiedzieli o kapitulacji Mokotowa. To była zaplanowana zemsta na bohaterach walk o stolicę.*

Do ostatniego tchu

Na powszechnie znanym zdjęciu z Powstania Warszawskiego, wykonanym

przez Niemców na potrzeby propagandowe, widać strudzonego powstańca wyciąganego z kanału. Dla okupantów to chwila triumfu, ale też okazja do rozprawienia się z tymi, którzy odważyli się walczyć o wolność.

Wyraz twarzy bohatera mówi więcej niż tysiąc słów. To por. Jerzy Umiński „Zbroja”. Wbrew utartym informacjom, nie zginął on przy ul.

Dworkowej, gdzie – w dwóch egzekucjach – funkcjonariusze Schutzpolizei, wspierani przez SS-manów z załogi pobliskiego Domu Wedla, rozstrzelali bezbronných powstańców, głównie żołnierzy Pułku „Baszta” AK. „Zbroja” trafił do niewoli, przeżył wojnę, choć zginął tragicznie w 1947 roku.

Wśród przedzierających się z Mokotowa do Śródmieścia był też Jan

Rydzek, zaledwie 20-latek. Walczył na Mokotowie od pierwszego dnia powstania. Przeżył wówczas – jak sam pisał – najtragiczniejsze momenty w życiu. Wyjątkowo krótkim, bo zakończonym drastycznie przez Niemców zaraz po wyjściu z kanałów. Dla niego los nie okazał się łaskawy.

Młody bohater pozostawił po sobie zapiski, które są dla nas bezcennym świadectwem heroizmu. Urywają się nagle 24 września. W tym dniu Niemcy przeszli do ostatecznej ofensywy na Mokotowie, zamierzając ostatecznie zgnieść polski opór. Do walki użyli lotnictwa, artylerii i broni ciężkiej.

– *Będę się bronił na gruzach* – obwieścił już wcześniej w depeszy do gen. Antoniego Chruściela „Montera” ppłk Józef Rokicki, dowodzący obroną Mokotowa. Powstańcy bronili się łącznie przez 57 dni. Generalny szturm Niemców zmusił jednak dowódcę do podjęcia decyzji o ewakuacji. Zakwestionował ją „Monter”, nakazując powrót na mokotowskie pozycje, ale na to było już za późno...

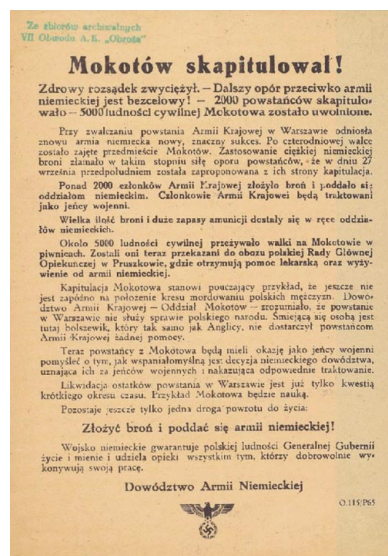
Ostatni obrońcy Mokotowa weszli do kanałów wieczorem 26 września, rozpoczynając wyścig z czasem. Niemcy, wiedząc o polskich planach, zawczasu ustawili podziemne przeszkody. Dla wielu z powstańców dotarcie do Śródmieścia okazało się niemożliwe, zostali zmuszeni do powrotu. Wyczerpani fizycznie i psychicznie, kluczili pod powierzchnią terenu kontrolowanego przez wroga. Znaleźli się w potrzasku i na tym właśnie poległ cały tragizm wydarzeń, które rozegrały się przy ul. Dworcowej 27 września 1944 roku.

Na granicy życia i śmierci

Podziemna droga, na której ludzkie dramaty rozgrywały się każdego dnia, stała się przepustką do życia. Istne piekło, jakim było wielogodzinne przedostawanie się kanałami, było teraz jedyną szansą na przetrwanie. Podporucznik Jerzy Stefan Stawiń-

ski „Łącki” tak wspominał ewakuację: *Uderzali w nas co chwilę ludzie, pędzący z powrotem z oblędem w oczach, oddziały się mieszały, ludzie nie wytrzymywali napięcia i miotali się rozpaczliwie szukając najbliższego wjazdu. Z ciemności dobiegały nas głuche i donośne jęki. Zupełnie jak sceny z surrealistycznego filmu grozy. Miałem latarkę, która oświetlała niewielką przestrzeń. Coraz ciężiej było*

Idąc w kierunku burzowca prowadzącego pod ulicą Puławską, musiałem się przeciskać przez tłum ludzi tarasujących przejście. Jak się okazało stali czekając na otwarcie wjazdu



oddychać. Breja, poruszona setkami nóg, zaczęła wydzielać gaz błotny. Postępując powoli i ostrożnie naprzód, dojrzelismy źródło ponurych jęków, zwiłokrotnionych przez akustykę kolektora: starszy, przeszło pięćdziesięcioletni oficer w mundurze przedwojennego pułkownika, z medalami na piersi, siedział oparty o ścianę

kolektora, po piersi zanurzony w brei i głucho wył. Ponieważ był to pierwszy taki przypadek na naszej drodze, poleciłem moim żołnierzom podnieść go i poprowadzić z nami. Niedługo to trwało. Takich siedzących i umierających spotkaliśmy wielu. (...) Każdy starszy człowiek – a często i nie starszy – jeżeli usiadł z braku sił, już nie mógł wstać i topił się w brei.

Inny uczestnik wydarzeń, Aleksander Kowalewski „Longinus”, jest autorem wstrząsającej relacji odsłaniającej kulisy niemieckiej zbrodni popełnionej 81 lat temu. Pod ziemią spędził piętnaście godzin. Obrazy z kanałów prześladowały go przez całe życie. – *Idąc w kierunku burzowca prowadzącego pod ulicą Puławską, musiałem się przeciskać przez tłum ludzi tarasujących przejście. Jak się okazało stali czekając na otwarcie wjazdu, zdecydowani wyjść z matni nawet w ręce wroga. Słyszało się histerycznie płaczące kobiety, słyszało się oddechy ludzi z trudem łapiących resztki tlenu zawartego w zamkniętej przestrzeni kanału* – relacjonował Kowalewski.

Podziemne piekło w czasie ewakuacji opisał Tadeusz Burdziński „Zenon III”, dowódca powstańczej radiostacji na Mokotowie: *Gdy docieramy do pierwszej barykady, którą minęliśmy niedawno, napotykamy grupę osób; mówią gorączkowo, że kanał za barykadą w stronę Mokotowa jest zalany. A więc nie wydostaniemy się na wierzch. Wśród obu grup: tej, która przyniosła wiadomość o zalaniu kanału i tamtej, która utknęła przy zamurowanym przejściu, wywiązuje się istic potępieńcza dyskusja. Wszyscy już potracili zmysły. Ludzie krzyczą – z gorączki, z wściekłości, z rozpacz.*

Kiedy powstańcy toczyli pod ziemią walkę o przeżycie, dotarła do nich wieść o upadku dzielnicy. Ewakuujący się znaleźli się w potrzasku. – Niemcy są na całym terenie. Ostatnia droga została odcięta. Byłem tym komplet-

nie zdruzgotany. Spytałem, co robić. Otrzymałem odpowiedź, że każdy musi decydować sam. Sytuacja jest bez rozsądnego wyjścia – oceniał „Longinus”.

W tym krytycznym momencie – podkreślał – podjęto ryzykowną decyzję o otwarciu jednego z włazów. Radość z ujścia światła dziennego była jednak wyjątkowo krótka – przy wyjściu z kanałów na powstańców czekali już niemieccy żandarmi.

– Spojrzałem w górę i na tle niebieskiego nieba zauważyłem schyloną nad włazem sylwetkę oficera SS nawołującego „Komm, komm! schneller!”. Był to moment jeden z najtragiczniejszych w życiu. Wybór natychmiastowej śmierci przez odebranie

cydowali się wyjść. A może jednak to nie będzie kresem mojego życia – zastanawiał się Kowalewski.

Przecucie go nie zawiodło. Nie wiele jednak brakowało, a decyzja o opuszczeniu kanałów także dla niego skończyłaby się tragicznie.

Leżeliśmy przemoczeni, głodni i do kresu zmęczeni

– Pozbyłem się aparatu telefonicznego, hełmu, pasa niemieckiego, pistoletu i zacząłem wspinać się po klamrach włazu. Działo się to około godziny 12. Po wychyleniu głowy z otworu włazu oślepiło mnie piękne, jesienne słońce. W chwili, gdy stanąłem obok włazu znajdujący się w pobliżu oficer krzyknął „Hände hoch”, a następnie gestem

Po rewizji – kontynuował – kazano mi się położyć twarzą do ziemi, na łączce u podnóża skarpy, gdzie leżeli moi koledzy. Zauważyłem, że oddziałem dowodzi oficer SS, który wypeł-

Bez względu na to jak zachowaliby się jeńcy, byłiby straceni

nia rozkazy płynące z siedziby żandarmerii znajdującej się na ul. Dworcowej. Na szczycie skarpy, co pewien czas, pojawiały się sylwetki żandarmów oglądających nas leżących u jej podnóża.



sobie życia (...) lub prawie stuprocentowa pewność, że po wyjściu z kanału stracę życie stając przed plutonem egzekucyjnym. Zawsze, kiedy myślałem o śmierci to nie wyobrażałem jej sobie, jako bezwolnego poddania i wyczekiwania ze strony oprawcy. Należało dokonać wyboru mając za sobą zaledwie początek własnego życia. Decyzje w tak ważnej sprawie trzeba było podejmować szybko. W myślach pojawiła się iskra nadziei, że wychodząc ma się jeszcze nieznane mi w tej chwili szansę. Postanowiłem zawierzyć intuicji moich poprzedników, którzy zde-

wskazał żołnierza, który ma przeprowadzić rewizję osobistą. Każdego wychodzącego z kanału rewidowano zabierając nie tylko broń i amunicję (których przeważnie pozbywano się w kanale), ale dokumenty i cenne przedmioty. Jednemu z kolegów kazano zdjąć nowe oficerskie buty z cholewkami. Rewidujący mnie młody (około 20 lat) żołnierz zabrał do własnej kieszeni srebrny ołówek i wieczne pióro. Portfel mój z dokumentami i pamiątkowymi zdjęciami rzucił na stertę przedmiotów odebranych podczas rewizji – zapamiętał autor relacji.

– Kto zna język niemiecki? – spytał jeden z późniejszych katów, cytowany przez „Longinusa”. Chwilę wcześniej Niemiec naubił powstańców, wyzywając ich od „bandytów” i „polskich świń”. Już te określenia mogły wskazywać, że okupanci nie zamierzają respektować swych wcześniejszych zapewnień o uznaniu AK-owców za stronę walczącą.

– Kto z was wie co się stało z feldfeblem (tu wymienił imię i nazwisko – red.), który wyszedł na patrol dnia 8 sierpnia i nie wrócił? Ja wam tego nie daruję. To był mój najlepszy kolega

ZDJĘCIA WYKONANE PRZEZ NIEMIECKIEGO FOTOGRAFA AUGUSTA AHNRENSA PRAWDOPODOBNIENIE NA ULICY PUŁAWSKIEJ (2)

i za jego śmierć rozwalę dzisiaj kilka waszych łbów – wygrażał niemiecki funkcjonariusz.

Zanim doszło do egzekucji, Niemcy wezwali wszystkich powstańców do

gdzie czekała go prawdopodobnie matka (...) Pod ofiarą ugięły się nogi i jak rżona piorunem padła twarzą do ziemi – opisał przebieg egzekucji Kowalewski.



Wyjście powstańców ze Starówki z kanału na rogu Nowego Świata i Wareckiej
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

opuszczenia kanałów, dając im na to 10 minut. – W międzyczasie żołnierze przygotowywali wiązkę granatów i z niemiecką skrupulatnością punktualnie o godzinie 13 nastąpił wybuch wrzuconych do włazu wiązki. Po tym fakcie nastąpiło poruszenie. Zaczęły padać różne komendy i rozpoczęła się strzelanina. Dla nas padł rozkaz, aby wszyscy trzymali głowy przy ziemi. Kule przelatwały nad nami. Myślałem, że oddziały osłonowe, które pozostały jeszcze nie rozbrojone usiłują nas odbić. Po pewnym czasie strzelanina zaczęła się uspokajać – czytamy w relacji żołnierza AK.

Chwilę później był on świadkiem próby ucieczki jednego z powstańców, którego jednak Niemcy natychmiast pochwycili i rozkazali rozstrzelać. – Żołnierz, który go przyprowadził wziął go za ramię i ustawił na skraju ścieżki, twarzą w kierunku ul. Belwederskiej. Skazany mógł patrzeć w ostatniej chwili swego życia na wylot ulicy Podchorążych, przy której mieszkał. Może widział nawet swój dom, do którego z taką nadzieją uciekał,

Po wychyleniu głowy z otworu włazu oślepiło mnie piękne, jesienne słońce. W chwili, gdy stanąłem obok włazu znajdujący się w pobliżu oficer krzyknął „Hände hoch”

Wszystko to odbyło się na oczach dziesiątek pojmanych żołnierzy AK i pilnie strzeżonych przez niemieckich policjantów. Od paru godzin – relacjonował autor wspomnień – leżeliśmy przemoczeni, głodni i do kresu zmęczeni w chłodnym cieniu skarpy. Co słabsi psychicznie i fizycznie trzęśli się z zimna i przeżywanych emocji szczękając zębami. Ciągła niepewność co do dalszego naszego losu zmuszała do stałego napięcia uwagi.

Niemcy pozwolili sanitariuszkom opatrzyć rannych kolegów, co – przynajmniej na chwilę – zmyliło czujność powstańców. Po pewnym czasie padł

rozkaz, aby ustawić się dwójkami. Następnie, na komendę „naprzód, marsz!”, powstańcy ruszyli w kierunku schodów.

Ich oczom ukazał się stos ciał zamordowanych wcześniej współtowarzyszy broni. Ofiary leżały pod płotem z drutu kolczastego, odgradzającego ulicę od skarpy. Widok był wstrząsający. – Z ułożenia ciał wynikało, że w chwili śmierci byli odwróceny plecami do swoich oprawców. Strzelano im w plecy lub w tył głowy. Niektóre ciała były pozawieszane na drutach, inni padali na stos ciał swoich poprzedników. Po ubraniach można było poznać niektóre osoby – relacjonował „Longinus”.

Widziałem, jak SS-mani dobijali rannych

Przed egzekucją – jak dodawał powstaniec, powołując się na innego świadka – część żołnierzy wziętych do niewoli (nie wiadomo ilu) na hasło podchorążych usiłowała chwycić za broń i zaatakować żandarmerię z okrzykiem „koledzy, nie dajmy zarżnąć się jak barany”.

O próbie buntu żołnierzy AK wspominał też Wacław Roszkowski – warszawski fryzjer, przymusowo zatrudniony w gmachu żandarmerii. Z jego złożonych po wojnie zeznań wynika, że akcja „opróżniania” kanałów została dobrze zaplanowana i przygotowana. – 27 września 1944 roku około godziny 7:00 przybył od strony ul. Rakowieckiej oddział młodych żołnierzy niemieckich, w wieku 16–17 lat, ubranych w drewniane buty, w panterki, uzbrojonych granatami i rozsykali się po terenie. Jak przypuszczaliśmy, zabezpieczyli włazy kanałów – tłumaczył Roszkowski.

Około godz. 14, podczas trwającej właśnie przerwy obiadowej, świadek obserwował rozwój wydarzeń z okna budynku przy ul. Dworkowej 5.

Jak relacjonował: Ulica Dworkowa była obstawiona przez żandarmerię,

a koło włączów przez SS. Z włączu zaczęła wychodzić ludność cywilna, wśród której byli chorzy, kobiety, dzieci i mężczyźni, a także powstańcy z opaskami i bez opasek. SS-mani stojący koło włączu rozdzielali na dwie grupy kobiety, dzieci i starszych mężczyzn, kierując grupę pod dom nr 5, a młodym zabierano broń. Kazano uklęknąć pod płotem po przeciwnej



Pomnik żołnierzy „Baszty” na ul. Dworkowej w Warszawie FOT. DOMENA PUBLICZNA

stronie ulicy, dochodzącym do schodków przy ul. Dworkowej.

Właśnie wówczas miało dojść do wspomnianej próby walki pojmanych powstańców z Niemcami. – W pewnej chwili, kiedy pod płotem było już ustawionych około 90 mężczyzn kłęczących twarzą do płotu w trzech szeregach, zauważyłem, że mężczyzna wychodzący z włączu zaczął szamotać się z SS-manami. SS-mani zaczęli go bić i odprowadzili pod dom przy ulicy Dworkowej do płotu pomiędzy nr 3 a 5. W grupie kłęczącej pod płotem ktoś zawołał: „chłopcy, uciekajcie!”. Kilku rzuciło się do ucieczki w dół schodków i jeden z nich dobiegł do jeziorka i zaczął płynąć. Jeden z powstańców spod płotu zaczął strzelać do Niemców. SS-mani otworzyli ogień

z pistoletów maszynowych, wybili wszystkich powstańców pod płotem oraz uciekających schodkami i płynącego w jeziorku. Pomiędzy zabitymi widziałem kilka kobiet – wspominał fryzjer.

Niemcy nie mieli litości nawet dla rannych. Gdy strzelanina ucichła – zeznawał po wojnie naoczny świadek – słyszałem pojedyncze strzały. Widzia-

Ja i moi koledzy wychodząc z kanału o 30 metrów dalej od miejsca egzekucji nie trafiliśmy bezpośrednio w ręce „bestii”. Przeżyliśmy



Aleksander Kowalewski ps. Longinus FOT. DOMENA PUBLICZNA

łem, jak SS-mani dobijali rannych. Po strzelaninie SS-mani wrzucali granaty do włączów.

Czy zbrodni sprzed 81 lat można było uniknąć? „Longinus” nie miał wątpliwości, że Niemcy – bez względu na okoliczności – dążyli do zamordowania powstańców.

Jestem przekonany – tłumaczył autor relacji – że bez względu na to jak

zachowaliby się jeńcy, byłiby straceni. Ich rozpaczliwy krok był jedynie następstwem atmosfery, jaką wytworzyli żandarmi prowadząc nieskrępowane rozmowy na temat egzekucji i kierując pogróżki pod adresem jeńców. Musieli widzieć przygotowania do egzekucji. To wszystko skłoniło ich do desperackiego kroku (...). Część nas czy wszystkich przeznaczono na śmierć dla podbudowania wątłego morale zwycięzców. Był to akt zemsty za niepowodzenia i ofiary, jakie ponieśli w czasie trwania walk powstańczych.

Kowalewski miał tego dnia szczęście i... dostał się do niemieckiej niewoli. Tragizm tego zdarzenia – podsumowywał – polegał na tym, że został tu pogwałcony rozkaz gen. von dem Bacha nakazujący traktowanie żołnierzy powstania jako jeńców wojennych. Właśnie dzięki temu rozkazowi, ja i moi koledzy wychodząc z kanału o 30 metrów dalej od miejsca egzekucji nie trafiliśmy bezpośrednio w ręce „bestii”. Przeżyliśmy.

Także „Zenon III”, który opuścił kanał przy ul. Dworkowej ok. godz. 16, zachował życie. W pierwszej chwili spodziewał się jednak najgorszego: Otwarcie oczu kosztuje wiele bólu. Widzę kilkanaście zwłok leżących twarzami do ziemi. Obok kilku naszych żołnierzy dosłownie skąpanych we krwi. Przy płocie znowu zwalone ciała rozstrzelanych. Tak więc czy owak nie minie nas przeznaczenie. Myśl, że stanie się to tutaj, na powierzchni, a nie w tamtej potępieńczej czeluści, stanowi jednak prawdziwą pociechę.

Ofiary egzekucji nie mogły liczyć na łaskę oprawców, choć zapewnienia gen. Ericha von dem Bacha-Zelewskiego – głównodowodzącego wojsk tłumiących powstanie – dotyczyły przecież wszystkich jeńców wojennych. Co z tego, skoro 81 lat temu, na wydartym z rąk Polaków Mokotowie, to Niemcy byli wyłącznymi panami życia i śmierci. ■



TEKST | Grzegorz Majchrzak

Kryptonim „Debata”, „Sejmik”

czyli największa operacja SB przeciwko NSZZ „Solidarność”

Zgoda władz PRL na powstanie niezależnych związków zawodowych w sierpniu 1980 roku była jedynie chwilowym, taktycznym ustępstwem. Miała ona również charakter terytorialnie ograniczony – w zamyśle obejmować miała głównie Wybrzeże. Jednak wrześniowe strajki, tym razem przede wszystkim na Górnym Śląsku, oraz tzw. porozumienie katowickie, zawarte w Hucie „Katowice” w Dąbrowie Górniczej, otworzyły drogę do tworzenia nowych, niezależnych związków zawodowych w całym kraju.

Oczywiście rządzący – przede wszystkim Służba Bezpieczeństwa oraz jej tajni współpracownicy – starali się ograniczać zasięg

nowych związków i wpływać na ich kształt. Kiedy zaś 17 września delegaci z całej Polski, zebrani w Gdańsku, podjęli decyzję o utworzeniu jednego,

ogólnopolskiego związku i wybrali dla niego nazwę: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” – aparat władzy rozpoczął działania wy-

mierzone przeciwko niemu. Były one, zwłaszcza od momentu formalnej rejestracji związku w listopadzie 1980 roku, prowadzone w ramach tzw. operacyjnej ochrony. Nie było to zatem klasyczne rozpracowanie, jak w przypadku opozycji przedsierpniowej, jednak w praktyce różnica ta miała charakter wyłącznie formalny. Związek i jego czołowi działacze – szczególnie ci uznani za bardziej radykalnych lub mający „na koncie” wcześniejszą działalność opozycyjną – byli przez funkcjonariuszy SB traktowani jako „element wrogi”. Tak było na przykład w przypadku redakcji „Tygodnika Solidarność”, którą uznano za wroga w całości.

Wobec NSZZ „Solidarność” nadal stosowano stare, sprawdzone w walce z opozycją metody – od nasyłania agencji, przez wywoływanie konfliktów (zarówno personalnych, jak i regionalnych czy lokalnych), aż po prowokacje. Starano się rozbijać jedność związkowców, m.in. lansując na Górnym Śląsku ideę związków branżowych zamiast regionalnych – z siedzibą w Jastrzębiu, a nie w Gdańsku. Próbowano również ograniczać liczebność związku, co jednak zakończyło się niemal całkowitą klęską – jesienią do Solidarności należało ponad 9,5 miliona osób, czyli praktycznie co drugi pracujący. W jej szeregach, obok szeregowych pracowników, nie brakowało również członków partii, a nawet dyrektorów.

Przed wszystkim jednak – o czym była już mowa – związek poddano tzw. operacyjnej ochronie, podobnie jak wiele innych legalnie działających instytucji (np. Komitet ds. Radia i Telewizji). Odbывало się to w ramach dużych spraw operacyjnych (tzw. spraw obiektowych), np. w przypadku Krajowej Komisji Porozumiewawczej, a następnie Komisji Krajowej, prowadzono ją pod kryptonimem „Aktywni”, zaś w odniesieniu do najważniejszego

związkowego grona doradczego – Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych przy KKP/KK – pod kryptonimem „Grot”. Rozpracowywane były wszystkie ogniwa związku: władze krajowe, zarządy regionalne oraz niektóre ważniejsze komisje zakładowe. Podobnie traktowano organy doradcze oraz związkową prasę. Oprócz tego „operacyjnie ochraniani” byli także najważniejsi działacze związku – np. Lech Wałęsa w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania (SOR) o kryptonimie „Bolek”, Joanna i Andrzej Gwiazdowie w ramach SOR „Brodacz”, Andrzej Kołodziej – SOR „Związkowiec”, a Anna Walentynowicz – SOR „Suwnicowa”.

Zjazdowa konfrontacja

Działania Służby Bezpieczeństwa miały na celu z jednej strony zdobycie informacji wyprzedzających dla władz PRL, z drugiej zaś – ograniczenie wpływów działaczy uznanych za ekstremistów oraz opozycjonistów przedsierpniowych (głównie z Komitetu Obrony Robotników), a tym samym wywarcie wpływu na program i działalność NSZZ „Solidarność”. Nic zatem dziwnego, że ich apogeum stanowił zaplanowany na wrzesień 1981 roku I Krajowy Zjazd Delegatów (ostatecznie odbył się on w dwóch turach: od 5 do 10 września oraz od 26 września do 7 października 1981 roku). Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie staje się jasna, gdy przypomni się, jaki był cel tego zjazdu. To właśnie podczas I KZD wybierano władze krajowe (Komisję Krajową oraz Krajową Komisję Rewizyjną), przyjmowano poprawki do statutu związku oraz uchwalano jego program.

Zjazd był pierwszym od ponad czterech dekad demokratycznym „parlamentem”, w którego obradach – z niezwykłą wręcz dyscypliną i zaangażowaniem – uczestniczyło blisko 900 delegatów z całej Polski. Przeciwnie



Bogdan Lis podczas ostatniego dnia drugiej tury I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” w hali „Olivia” FOT. PAP

nim rzucono również znaczne siły, a działania Służby Bezpieczeństwa związane z I Krajowym Zjazdem Delegatów prowadzone były w całym kraju. Odbywały się one na trzech szczeblach. „Zabezpieczenie” samego zjazdu, który miał miejsce w gdańskiej hali „Olivia”, powierzono Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku (w ramach sprawy obiektowej o kryptonimie „Sejmik”). Niezależnie od tego, na szczeblu centralnym działała specjalnie powołana grupa operacyjna pod kierownictwem



wiceministra spraw wewnętrznych Adama Krzysztoperskiego, nadzorującego działania resortu wobec Solidarności (sprawa obiektowa kryptonim „Debata”). Wreszcie, zgodnie z wytycznymi z Warszawy, działania operacyjne w związku z I KZD prowadziły również komendy wojewódzkie MO w całym kraju.

O skali operacji prowadzonych w związku ze zjazdem przez Służbę Bezpieczeństwa najlepiej świadczy fakt zaangażowania nie tylko agentury SB i MO, ale także Wojskowej Służby Wewnętrznej, Wojsk Ochrony Pogranicza, a nawet – przynajmniej w województwie zielonogórskim – radzieckiego kontrwywiadu wojskowego. Do dziś nie znamy i zapewne już nigdy nie poznamy pełnej skali tego zaangażowania, m.in. ze względu na zniszczenie części materiałów archiwalnych. Warto jednak przypomnieć, że w działania te włączone były nie tylko służby specjalne, ale również media (prasa, radio, a zwłaszcza nie-

mał w pełni kontrolowana przez władze telewizja), inne instytucje państwowe (na czele z rządem), a także instancje Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Odstrzelić „politykierów” i „ekstremę”

Oczywiście działania te miały kilka etapów. Rozpoczęły się na długo przed samym zjazdem. Już od czerwca 1981

Działania Służby Bezpieczeństwa miały na celu z jednej strony zdobycie informacji wyprzedzających dla władz PRL, z drugiej zaś – ograniczenie wpływów działaczy uznanych za ekstremistów

roku – podczas walnych zebrań delegatów w regionach, w trakcie których wybierano m.in. przedstawicieli na I KZD – starano się nie dopuścić do wyłonienia „ekstremistów” oraz „politykierów” związanych z przedsięwzięciem opozycją. O skali tych działań najlepiej świadczy przypadek Andrzeja Rozpłochowskiego – w operację wymierzoną przeciwko niemu zaangażowano aż 170 tajnych współpracowników. Mimo to otrzymał mandat delegata na zjazd. Sukcesem SB był jednak fakt, że – choć dopiero w trzeciej turze – przegrał wybory na przewodniczącego Zarządu Regionu. Był to jednak sukces połowiczny, ponieważ podczas I KZD został wybrany do Komisji Krajowej, mimo dalszych działań wymierzonych w jego osobę (do 186 delegatów rozesłano wtedy dokument zatytułowany „Niepotrzebni nie chcą odejść”, zarzucający mu rzekomą „awanturniczą i rozłamową działalność”).

Dodatkowo, 30 lipca 1981 roku naczelnikom wydziałów III „A” KW MO w całym kraju – odpowiedzialnym za walkę z Solidarnością – polecono „zintensyfikować pracę operacyjną w zakresie pozyskiwania nowych osobowych źródeł informacji spośród wybranych delegatów”. Efekty tych działań były jednak umiarkowane – udało się wprowadzić na zjazd jedynie 38 tajnych współpracowników i 5 kontaktów operacyjnych. Czterech dalszych agentów znalazło się natomiast wśród zaproszonych gości i obsługi prasowej.

Zasadniczą część operacji SB związanych z I Krajowym Zjazdem Delegatów rozpoczęła się we wrześniu. Ich cele zostały określone we wniosku o wszczęcie sprawy obiektowej pod



W drugiej turze I Krajowego Zjazdu Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w Hali „Olivia” (26.09 – 7.10.1981 r.) m.in. wybrano Lecha Wałęsę na przewodniczącego Komisji Krajowej FOT. PAP

kryptonimem „Debata”. Miały one koncentrować się na „zminimalizowaniu społecznego znaczenia i ograniczeniu negatywnego wpływu zjazdu na rozwój sytuacji społeczno-politycznej w kraju”, a także na „ograniczeniu wpływów KSS KOR, KPN, RMP, ROPCiO itp. oraz ekstremistów w związku na przebieg i decyzje zjazdu oraz dalszą działalność Solidarności”, jak również na „sprowadzeniu Solidarności do działalności związkowej, zgodnej ze statutem”. Plany te były tyleż ambitne, co całkowicie nie-realne – i to mimo działań dezintegracyjnych prowadzonych na skalę nie-spotykaną dotąd w historii PRL.

Niekiedy działania te przybierały zresztą finezyjne formy. Tak było na przykład w przypadku przygotowanego przez bezpiekę opracowania ośmieszającego Lecha Wałęsę, które miało – w zamyśle funkcjonariuszy – sprowokować atak „wałęsiaków” na „korowców”, a szczególnie na Andrzeja Gwiazdę. Za najciekawszą, a z pewnością najbardziej tajemniczą, można uznać operację Wydziału Socjalno-Zawodowego Komitetu Centralnego PZPR, polegającą na przygotowaniu – na drugą turę I KZD – „wyważonego programu dla związku” w dwóch wersjach: pryncypialnej i kompromisowej. Pierwszą planowano przekazać tajnym współpracownikom, którzy – według SB – mogli wejść w skład władz krajowych związku; druga miała natomiast trafić do Lecha Wałęsy „kanałem specjalnym”, którego charakter nie został do dziś ujawniony.

Wielka porażka „smutnych panów”

Mimo zaangażowania agentury oraz techniki operacyjnej – głównie podsłuchów (m.in. zarejestrowano przemówienie prymasa Polski Józefa Glempa w katedrze oliwskiej przed rozpoczęciem zjazdu) – a także obecności funkcjonariuszy SB, z których jeden, według relacji, miał nawet osiwieć

podczas potajemnej rejestracji przebiegu I KZD, działania prowadzone w czasie pierwszej tury zjazdu zakończyły się niemal całkowitą klęską. Przykładowo, Służbie Bezpieczeństwa udało się „spowodować” zaledwie 17 „pozytywnych wystąpień i replik”. Skąd to niepowodzenie? Jak później oceniano, w atmosferze panującej podczas zjazdu tajni współpracownicy SB nie byli w stanie „szeroko proponować pozytywnego programu”, ponieważ ich wystąpienia były regularnie przerywane przez innych delegatów, szczególnie podczas pierwszych trzech dni obrad. Zdaniem SB, miało to być rzekomo wynikiem działań działaczy opozycji – zwłaszcza KOR.

W efekcie – jak później przyznawali sami funkcjonariusze – na wystąpienia krytyczne wobec „radikalnego nurtu” mogli sobie pozwolić jedynie ci delegaci, którzy nie ubiegali się o wejście do władz związku i nie traktowali swojej działalności w Solidarności jako szansy na realizację osobistych ambicji. Panująca w hali „Olivia” atmosfera zmusiła Służbę Bezpieczeństwa do zmiany instrukcji dla swoich tajnych współpracowników – nakazano im rezygnację z wystąpień publicznych na rzecz działań zakulisowych, prowadzonych w kularach i miejscach zakwaterowania delegatów. O skali klęski bezpieki podczas pierwszej tury I KZD najlepiej świadczą rozważania wiceministra Adama Krzysztoporskiego z dnia następnego po jej zakończeniu. Ten resortowy „liberał”, zwolennik działań nękających i dezintegracyjnych, nie zaś siłowych, uznał przebieg obrad za „rezultat dywersyjnej działalności antykomunistycznej”. I pytał dramatycznie: „Co ma zrobić Biuro Polityczne – czy ma odbyć się II tura Zjazdu »S[olidarności]«, czy zwołać Nadzwyczajny Zjazd [KC PZPR]? Konfrontacja? Zamknięcie 1500 ludzi, wywołamy strajk generalny – i co dalej?”. Rzeczywiście,

na forum Biura Politycznego KC PZPR jego przełożony, Czesław Kiszczyk, zaproponował wówczas wprowadzenie stanu wojennego. Sprzeciwił się temu jednak I sekretarz Stanisław Kania, który konsekwentnie odrzucał tego typu rozwiązanie.

Podsłuchy cenniejsze od agentury

W tej sytuacji pomysł niedopuszczenia do drugiej tury zjazdu stał się nieaktualny. Zamiast tego Służba Bezpieczeństwa jeszcze bardziej zintensyfikowała swoje działania, koncentrując się na delegatach i ich spotkaniach w regionach, podczas których relacjonowano dotychczasowy przebieg I KZD. Można zaryzykować twierdzenie, że działania te – zwłaszcza tzw. dialogi operacyjne prowadzone z delegatami – okazały się owocne, zarówno w perspektywie krótko-, jak i długoterminowej. W porównaniu z pierwszą turą, do zakończenia drugiej liczba agentury (obejmująca delegatów i obsługę) wzrosła o ponad 25 proc. Do współpracy osoby te pozyskiwano także w kolejnych tygodniach i miesiącach.

Według późniejszych obliczeń do 13 grudnia 1981 roku łącznie 82 delegatów było współpracownikami SB, a kolejnych – najprawdopodobniej 65 – zwerbowano do 1984 roku. Inna sprawa, że ta liczba niekoniecznie przekładała się na jakość, a skuteczniejsze okazały się podsłuchy, montowane dosłownie wszędzie – w miejscu obrad delegatów, komisji problemowych i zespołów tematycznych, miejscach zakwaterowania uczestników zjazdu, a nawet we wspomnianej wcześniej katedrze oliwskiej. W efekcie – jak później stwierdzili autorzy resortowej analizy działań Służby Bezpieczeństwa związanych z I KZD – mimo że efektywność osobowych źródeł informacji miała być rzekomo wysoka, a przekazywane przez nie dane dotyczyły „spraw istotnych dla całokształtu poznania prawdziwych za-

mierzeń działaczy i delegatów, jak również bieżących działań o charakterze antypaństwowym”, to jednak zastosowana na możliwie szeroką skalę technika operacyjna (czyli podsłuchy) pozwalała uzyskiwać „informacje pełniejsze i w większym stopniu nadają-

możliwość uargumentowanego przeciwstawienia się tej kampanii”. Można się jedynie domyślać, że wspomniane „operacyjne dotarcie” oznaczało spotkanie wiceministra Adama Krzysztoporskiego z przewodniczącym „Solidarności” – odbyło się ono, według

niczenia poparcia dla jego kontrkandydatów (m.in. Gwiazdy i Rulewskiego). Ostatecznie Wałęsa wygrał, a wyniki wyborów niemal w pełni pokrywały się z przewidywaniami Eligiusza Naszkowskiego, jednego z najgłośniejszych tajnych współpracowników bezpieki (TW „Grażyna”), które zresztą później esbecy podawali, jako własne prognozy...

Za swój sukces SB uznała m.in. wynik wyborów do Prezydium Komisji Krajowej, choć już nie – przynajmniej nie w pełni – do samej Komisji Krajowej. Nie przeszkadzało to jednak esbekom chwalić się na wyrost, jak np. w przypadku rzekomego utracenia kandydatury Lecha Kaczyńskiego, który nie wszedł do „krajówki”, ponieważ – po najdłuższym, szesciorundowym „pojedyunku” zjazdu – przegrał z Bogdanem Lisem. Nie było to jednak efektem działań SB, lecz faktem, że był on kojarzony z Komitetem Obrony Robotników, był doradcą związku, a ponadto nie wypadł najlepiej podczas autoprezentacji – zabrakło mu czasu. Warto dodać, że przegrał z Lisem, którego bezpieka nie chciała we władzach związku jeszcze bardziej. Lista porażek SB była zresztą znacznie dłuższa. Jej funkcjonariusze uznali, że w wyniku I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” miała się przekształcić w „ruch społeczny z elementami charakterystycznymi dla partii opozycyjnej”, a większość podjętych uchwał miała „jednoznacznie polityczny charakter” i była „wymierzona w kierowniczą rolę PZPR w życiu narodu”. Nie udało się zatem wpłynąć na program i działalność związku, co funkcjonariusze SB uznali za porażkę – i uznali, że władzom PRL pozostaje już wyłącznie rozwiązanie siłowe, bo Solidarności inaczej nie uda się spacyfikować ani przejąć nad nią kontroli. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



Druga tura I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” FOT. PAP

ce się do wykorzystania w meldunkach operacyjnych” niż te, które pochodziły od agentów.

Sukcesy i porażki SB

W czasie drugiej tury zjazdu do najważniejszych wydarzeń należały wybory przewodniczącego związku i Komisji Krajowej. W tych pierwszych władze zdecydowały się – oczywiście niejawnie – poprzeć Wałęsę. Uznały one po prostu, że lepszy będzie na czele związku umiarkowany „gdański elektryk”, a nie przedstawiciel związkowej „ekstremy” (np. Marian Jurczyk czy Jan Rulewski). W związku z tym, podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów Służba Bezpieczeństwa starała się zwiększyć jego szanse wyborcze. Jeszcze przed rozpoczęciem obrad „zabezpieczono operacyjnie dotarcie” do niego „z zestawieniem informacji i danych obrazujących prowadzoną przeciwko niemu działalność opozycyjną (...), dających mu

Do 13 grudnia 1981 roku 82 delegatów było współpracownikami SB, a kolejnych – najprawdopodobniej 65 – zwербowano do 1984 roku

relacji, przy świadkach, po jednej osobie z każdej strony, tuż przed rozpoczęciem zjazdu.

Ta gra nie była jednak taka prosta, gdyż z drugiej strony bezpieka dążyła do osłabienia pozycji Lecha Wałęsy, jako przywódcy Solidarności. Temu służyło m.in. podsycanie konfliktu między nim a Andrzejem Gwiazdą czy Anną Walentynowicz, a w czasie samego zjazdu działania w celu „zachwiania [jego] pozycji (...) w drodze pozbawienia go znacznej ilości głosów”, przy jednoczesnej próbie ogra-



86. rocznica agresji ZSRS na Polskę

Przed Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie 17 września 2025 roku odbyły się uroczystości upamiętniające 86. rocznicę agresji ZSRS na Polskę i Dzień Sybiraka. Szef Urzędu Lech Parell przypomniał o znaczeniu obchodzonej rocznicy.

– Każdego roku wracamy do tego tragicznego wydarzenia i chylimy czoła przed obrońcami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, przypominamy bohaterstwo naszych żołnierzy, obronę Grodna i Wilna, zmagania Korpusu Ochrony Pogranicza, wspominamy tysiące poległych uczestników walk o wolność naszej Ojczyzny. Również tysiące tych, którzy dostali się do sowieckiej niewoli i zostali następnie zamordowani, a potem pochowani w dołach śmierci w Katyniu, Miednoje, Charkowie, Bykowni i innych miejscach. Bolejemy nad tym, że nie możemy ich odwiedzać, a polskie patriotyczne symbole na tych cmentarzach w Rosji są usuwane – mówił szef Urzędu.

Przypomniał również o wielkim kłamstwie, na jakim przez lata oparta była opowieść o agresji ze Wschodu i zbrodniach, popełnianych przez sowiecki aparat terroru. Wyraził zaniepokojenie faktem, że po tylu latach podobne kłamstwa, choć w innych okolicznościach, nieustannie się powtarzają, a wielu na świecie wciąż się na nie nabiera.

– To jest zobowiązanie dla każdego obywatela – sprawiać, aby Polska stawała się coraz silniejsza. Polska, aby była silna, musi być w elementarny sposób zjednoczona. Nie będziemy silni, jeżeli będziemy podzieleni – apelował Lech Parell.

W czasie uroczystości odczytane zostały również listy od prezydenta RP Karola Nawrockiego, prezydenta Miasta st. Warszawy Rafała Trzaskowskiego i prezes Federacji Rodzin Katyńskich Izabelli Sariusz-Skąpskiej. Przemówienie wygłosił również przewodniczący Fundacji Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, gen. dyw. w st. spocz. Leon Komornicki, który podziękował wszystkim zaangażowanym w pielęgnowanie pamięci o ofiarach sowieckiej agresji, przypomniał o jednoczącej symbolice Pomnika Poległym i Pomordowanym oraz zaapelował o jedność w obliczu narastających wyzwań.



FOT. UDŚKOR (4)